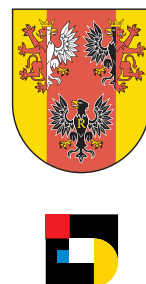


ŁÓDŹSKA

ziemia



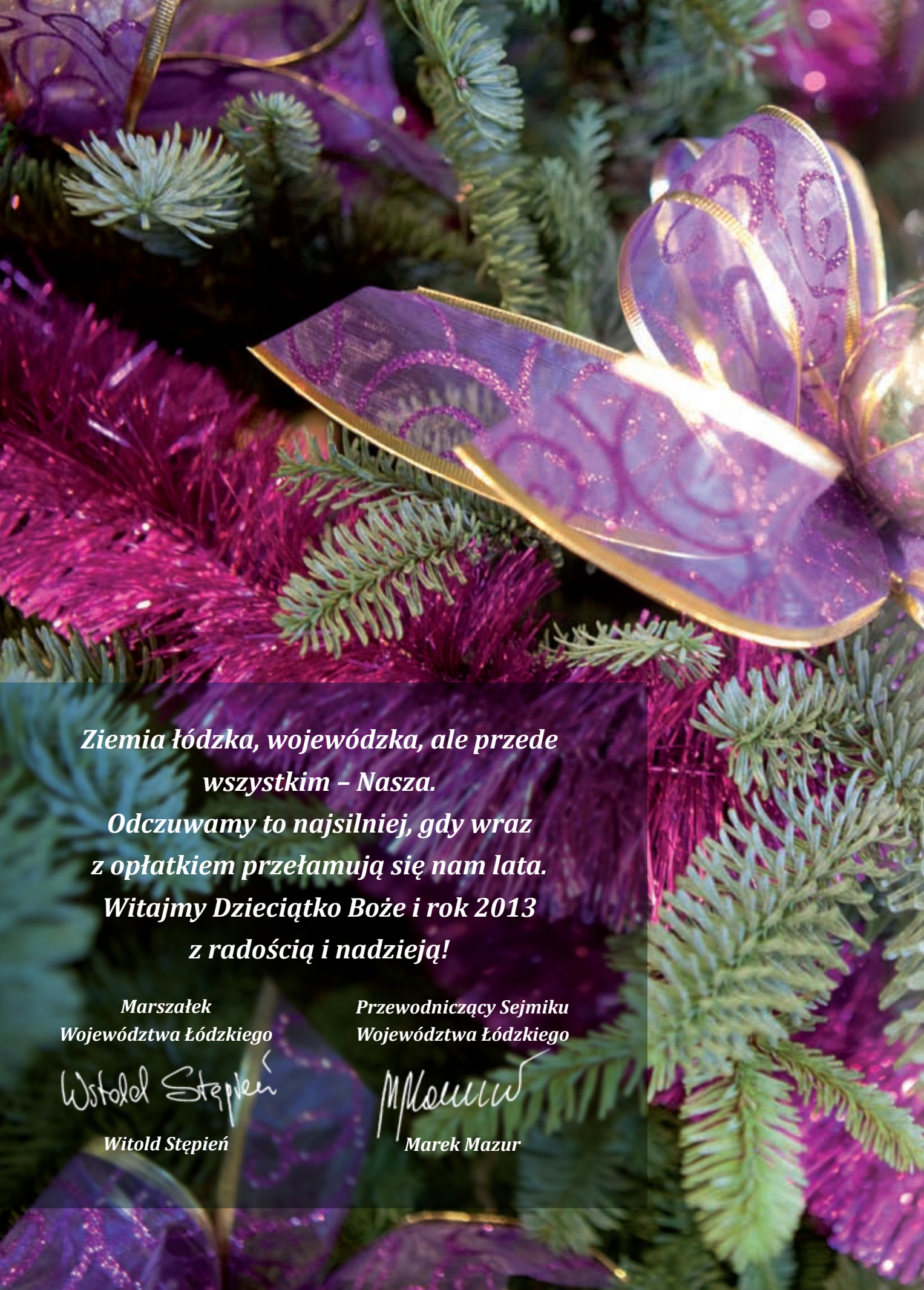
Nr 12 (135) grudzień 2012
ISSN 1640-9337

Pismo Samorządowe Województwa Łódzkiego

**W polskiej tradycji
świątecznej można
wyróżnić dwa
podstawowe nurty
– chłopski i szlachecki.**

”





*Ziemia łódzka, wojewódzka, ale przede
wszystkim – Nasza.*

*Odczuwamy to najsilniej, gdy wraz
z opłatkiem przełamują się nam lata.*

*Witajmy Dzieciątko Boże i rok 2013
z radością i nadzieją!*

*Marszałek
Województwa Łódzkiego*

Witold Stępień

Witold Stępień

*Przewodniczący Sejmiku
Województwa Łódzkiego*

Marek Mazur

Marek Mazur

Pismo Samorządowe
Województwa Łódzkiego.
Ukazuje się od 1995 roku.



Wydawnictwo: Województwo Łódzkie
Adres redakcji: Urząd Marszałkowski
w Łodzi, 90-051 Łódź, al. Piłsudskiego 8,
pok. 1218, tel. 42 663 34 77, 663 35 03
ziemia.lodzka@lodzkie.pl
Rada programowa:
Przewodnicząca: Anna Rabeiga
Sekretarz: Halina Rosiak
Członkowie rady:
Andrzej Chowis, Irena Nowacka
Redaktor naczelny: Włodzimierz Mieczkowski
Sekretarz redakcji: Anna Szymanek-Jużwin
Redakcja nie zwraca niezamówionych
tekstów i zastrzega sobie prawo ich
skręcania i redagowania.
Opracowanie graficzne: www.purpose.com.pl
Skład i druk: OWR „Sagalar”
Zdjęcia: z arch. Urzędu Marszałkowskiego
w Łodzi, Muzeum Regionalnego w Opocznie,
Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego
w Łodzi, Muzeum Sztuki w Łodzi.
Nakład: 10000 egz.
ISSN 1640-9337

Od redakcji

Koniec roku sprzyja refleksjom. Czynimy tak zarówno na własny użytek, jak dla dobra wspólnego. Wnioski powinny być pomocne w formułowaniu ambitnych i rzetelnych planów. Jaki był kończący się rok? W życiu publicznym media zajmowały się piłką nożną, śledziły losy Katarzyny W., właściciela banku ze złotem w tle, posiadacza zestawu „Mały pirotechnik” i odmieniały rzeczownik „kryzys” we wszystkich przypadkach. Ciekawe, że w obliczu owego krachu rośnie w społeczeństwach państw rozwiniętych potrzeba kontaktu z wróbitami wszelkiej maści. Ludzie chcą wiedzieć, jaka będzie ich przyszłość, choćby najbliższa. Niepewność jutra podsyca modę na ezoterykę, nawet w telewizji. Zatem dobrze trafiliśmy z cyklem Słowiańszczyzna, bo chyba powracają czasy, kiedy gusła i zabobony decydowały często o ludzkich losach. Wprawdzie nie czytałem ostatnio w prasie o wściekłych krowach ani ptasiej grypie, ale temat skutków ocieplania się klimatu jest stale obecny. Dlatego przejrzałem nieocenione źródło wiedzy, jakim są „Pamiętniki” Jana Paska, i znalazłem taki oto passus:

„Rok Pański 1682 daj, Panie Boże, szczęśliwie zacząłem w Olszówce. Zima tego roku była właśnie włoska, bo wszystka bez śniegu i mrozu; na saniach nie jeżdżono, rzeki nie stawały. Trawy zielone, listki na drzewie i kwiatki przez całą zimę; ludzie orali i siali wtenczas, kiedy najcięższe bywają mrozy; nawet marzec był tak ciepły, suchy i wesoły, że prawie przeciwko naturze swojej. Dopiero w kwietniu śniegi i mrozy, a na same Święta Wielkanocne śnieg spadł i miejscami jarzyny, osobliwie grochy, powarzyło, które już były powschodziły. W Przewodni Tydzień śnieg i mróz wielki, że mógł saniami jechać. A panowie minucyjarze (przepowiadający pogodę) nic o tym nie napisali. Wiedzą wierę, co się w niebie dzieje albo raczej napisano; podobnie by mu wiedzieć, kiedy żona do kogo inszego kartki pisze, a nie wie, chyba dopiero się dowiedział, kiedy przestrzeżony faktorkę złapał i kartkę jej wydarłszy, przeczytał”.

Chyba, że byłaby to kartka świąteczna...

Włodzimierz Mieczkowski

Spis treści

- 4 — Teologia**
O jezuitach na ziemi łódzkiej
- 5 — Pamięć**
Hubalowa wigilia
- 6 — Muzyka**
Muzyka rodzinnego domu
- 7 — Wywiad miesiąca**
Dobry adres
- 8 — Prezentacje — Opoczno**
Przystanek Opoczno
- 9 — Z dawnej prasy**
Łódzkie Boże Narodzenie
- 10 — Lotnisko**
Amerykański sen łasku
- 11 — Z prac sejmiku**
O ochronie przeciwpowodziowej
- 12 — Od manufaktury do Manufaktury**
Od manufaktury do Manufaktury
- 16 — Prawo**
- 17 — Historia**
Pegaz bez zajęcia
- 18 — Słowiańszczyzna**
Legenda o stworzeniu świata
- 19 — Słowiańszczyzna**
Czy lutomierscy wojownicy
byli wikingami?
- 20 — Rekreacja**
Tyle słońca w całym mieście...
- 21 — Biografie**
Śladami hrabiny d'Ornano
- 22 — Szkolnictwo**
Akademia Widawska
- 23 — Znane, a jednak..**
Filmowy dwór
- 24 — Sport**
Pod górkę na igrzyska

Nasza okładka: z wystawy w Muzeum Regionalnym w Opocznie.



**str. 2 — W polskim dworze
przy wigilijnym stole**

Na początku XIX w. za danie, którego nie mogło zabraknąć na wigilijnym stole, uznawano szczupaka w szafranie.



str. 7 — Dobry adres

Liczę, że zajęcia w pracowni jeszcze bardziej zintegrują naszych artystów, tak jak wyjazdy plenerowe po województwie.



Stuczyński

Rysunek miesiąca:



W polskim dworze przy wigilijnym stole

W polskiej tradycji świątecznej można wyróżnić dwa podstawowe nurty – chłopski i szlachecki. Współistnienie i ograniczone wzajemne przenikanie się nurtów chłopskiego i szlacheckiego zadecydowało o bogactwie i wielowątkowości polskiego świętowania.

W ludowej obrzędowości świątecznej harmonijnie spajały się dwa aspekty, które dawały wyraz duchowym i emocjonalnym potrzebom pozostających w głębokiej zależności od natury mieszkańców wsi. Trzon pierwszego z nich tworzyły dogmaty wiary chrześcijańskiej, drugiego, typowo chłopskiego, rytuały mające wspomóc odnowę rytmu przyrody, a tym samym zapewnić urodzaj, zdrowie i dostatek. Praktyki te miały starą, przedchrześcijańską genezę.

Wyróżnikami szlacheckiego świętowania były natomiast odniesienia narodowe. Już w okresie I RP pod wpływem istotnych dla losów kraju wydarzeń wątki patriotyczne pojawiały się w opowieściach o świętach. Nurt narodowy w polskiej obyczajowości i obrzędowości świątecznej ukształtował się ostatecznie w czasie zaborów. Szczególna doniosłość społeczna i aktualność cechowała go w trudnych dla Polaków okresach historii w XX wieku. Nie można się dziwić, że zapoczątkowała i rozwinęła go szlachta, do końca XVIII w. stan ten bowiem uosabiał naród. Co więcej, w okresie utraty niepodległości, pomimo przemian społecznych i ekonomicznych włączających wólcian w główny nurt życia narodowego, to przede wszystkim ziemiaństwo, a później inteligencja, stało

na straży dorobku kulturalnego, pamięci historycznej i zwyczajów. Obrzędy związane ze świętami cyklu rocznego w każdej kulturze były domeną życia społecznego – jednoczyły społeczności lokalne, a przede wszystkim rodziny. Szlachta, a zwłaszcza arystokracja, w sytuacji gdy pochodzenie wyznaczało jej pozycję społeczną i materialną, a także wyznaczało perspektywy życiowe, ogromną wagę przywiązywała do historii i tradycji rodzinnej. Stanowiły one de facto część ogólnonarodowej spuścizny, dlatego też patriotyczny wymiar szlacheckiego świętowania często przybierał bardzo osobisty charakter.

Wyróżnikiem naszych tradycji było i jest szczególnie uroczyste obchodzenie Wigilii. Uroczysta wieczerza zwyczajowo rozpoczynała się od znanego tylko w naszym kraju łamania się opłatkiem. Każdy członek rodziny, uczestniczący w uroczystej kolacji, otrzymywał swój kawałek opłatka. Wszyscy składali sobie życzenia i wzajemnie ułamywali kawałek z opłatka krewnego. Dzielenie się opłatkiem rozpoczynał pan domu lub w jego zastępstwie najstarszy syn w rodzinie. Ten piękny zwyczaj, podkreślający szczególny charakter tego dnia, kiedy to należało pojednać się i zapomnieć wszelkie urazy, przyjął się w XVIII w. wśród szlachty. Później trafił

pod strzechy, jednak w niektórych częściach naszego kraju nie stało się to szybko. Na Warmii, Mazurach i w części Pomorza nie znano go jeszcze na początku XX w. Wigilijne dzielenie się opłatkiem nie tylko łączyło Polaków, którzy w różnych okresach burzliwych dziejów naszego kraju trafiali na emigrację, było także wyrazem ich tożsamości narodowej. Także dziś chyba żadna polska rodzina, świętująca czy to w kraju, czy w jakimś odległym zakątku świata, nie wyobraża sobie Wigilii bez dzielenia się opłatkiem i składania sobie życzeń.

Wigilijna wieczerza pozostaje najbardziej uroczystym posiłkiem w roku, jednak coraz częściej zapominamy, że dawniej podczas wigilii panował bardzo podniosły nastrój, który tworzyło pełne godności zachowanie biesiadników. Zebrani przy stole najbliżsi krewni nie mogli głośno rozmawiać, najstosowniej było poruszać tematy związane z dziejami rodziny, snuć opowieści z życia wybitnych członków czy wspomnienia o zmarłych krewnych. Za właściwe uważano, by w konwersacji uczestniczyły głównie osoby starsze, a młodzież zachowywała milczenie. Tak więc aura wieczerzy wigilijnej odbiegała od atmosfery innych świątecznych lub uroczystych posiłków. Typowo polskim zwyczajem jest pozostawianie wolnego



miejsca przy stole i odkładanie kawałka swojego opłatka na talerz. Niekiedy kładziono na nim także porcję wigilijnych potraw. W niektórych domach wolnych miejsc bywało nawet kilka. W „Pieśni o domu naszym” Wincentego Pola czytamy „A trzy krzesła polskim strojem koło stołu stoją próżne...”. Zwyczaj ten jest echem zadusznego charakteru wigilii. W cytowanym utworze czytamy dalej „I (każdy) pokłada na talerzu anielskiego chleba kruchy, bo w tych krzesłach siedzą duchy”. Przekonanie, że w trakcie tej szczególnej uczty dusze zmarłych są obecne wśród nas, żyjących, i że okazując im szacunek oraz odpowiednio je goszcząc zyskujemy ich przychylność i pomoc, było bardzo silne w tradycji ludowej. Jeszcze w XIX w. w niektórych wsiach w różnych częściach Polski, zanim usiadło się na ławie, należało przeprosić „duszyczkę”, która być może właśnie tam odpoczywała. Ponieważ w tym okresie w chałupach chłopskich najczęściej jedzono z jednej misy, nie zostawiano dodatkowego nakrycia, ale w Polsce środkowej, zwłaszcza w domach, gdzie niedawno ktoś zmarł, kładziono dodatkową łyżkę. Później pozostawianie wolnego miejsca przy stole rozszerzyło się na wszystkie warstwy społeczeństwa. Po dziś dzień zwyczaj ten jest praktykowany w większości polskich domów. Współcześnie interpretuje się go różnie, często mówi się, że pusty talerz przeznaczony jest dla niespodziewanego gościa, którego należy przyjąć, bowiem w wigilijny wieczór nikt nie powinien pozostać osamotniony.

Podejmując temat wigilii w szlacheckich dworach i dworach, co najmniej z dwóch powodów nie można pominąć wątku podawanych tego dnia potraw. To właśnie menu w znacznym stopniu tworzyło specyfikę tego wieczoru, a rodzimą kuchnię uznaje się za część tradycji narodowej. Zgodnie ze

zwyczajem wigilijna kolacja była postna, jedynie w północno-wschodniej części naszego kraju, na Warmii i Mazurach, nie przestrzegano tego ograniczenia. Choć od niedawna Kościół nie nakazuje, by tego dnia zachować post, większość Polaków zwyczajowo go przestrzega. Zgodnie z dawnym zwyczajem, w chłopskich chałupach na wigilijny stół trafiały potrawy przygotowane na bazie produktów, stanowiących podstawę codziennego wyżywienia: maki, grochu, kaszy, kapusty, w niektórych regionach także ziemniaków oraz roślin gospodarczych – w Polsce środkowej jadano polewkę z konopi, do dawnych wigilijnych potraw należy również zupa z siemienia lnianego. Jak wierzone, dzięki temu w nadchodzącym roku biesiadnicy będą mieli wszystkiego pod dostatkiem. W domach szlacheckich nie przestrzegano ściśle tego nakazu. Kolejną grupą składników wigilijnych potraw były mak, miód, grzyby, które stanowiły symbol kontaktu z zaświatami. Aby w nadchodzącym roku zapewnić sobie urodzaj, na stole powinna się znaleźć nieparzysta liczba dań, zależnie od zamożności domu mogło ich być 13, 11, 9, 7 lub 5. Dania wigilijne były zróżnicowane regionalnie. W związku z migracjami ludności niektóre regionalne potrawy upowszechniły się szerzej, na przykład pochodząca z kresów wschodnich kutię dziś jada się w całej Polsce. Dawniej bogate zwłaszcza domy miały swoje wigilijne specjalności, które wzbogacały menu tej uroczystej kolacji.

Dziś podstawę uroczystej wieczerzy stanowią, uznawane za typowo polskie potrawy wigilijne: karp i barszcz z uszkami. Dania te pochodzą z kuchni szlacheckiej, na chłopski stół trafiały dopiero w XX stuleciu. Barszcz nie był jedyną zupą, jaką jadano we dworach i dworach. Na przełomie XVIII i XIX w. w zamożnych domach serwowano

zapomnianą już dziś wykwinną zupę migdałową z rodzynekami. Do tradycyjnych wigilijnych zup należały także grzybowa, rybną i owocowa. Choć ryby słodkowodne można uznać za główny składnik wigilijnej kolacji, długo nie jadano ich jednak w wiejskich chatkach, gdzie z dań rybnych przygotowywano jedynie smażone śledzie. W dworach i dworach podawano natomiast nie tylko karpie – smażone, gotowane, w szarym sosie lub w galarecie, ale również liny, najczęściej w kapuście, sandacze i okonie. Na początku XIX w. za danie, którego nie mogło zabraknąć na wigilijnym stole, uznawano szczupaka w szafranie. Ryby, zwłaszcza słodkowodne, zajmowały zresztą istotne miejsce w polskiej kuchni. Hodowla ryb rozwinęła się w Polsce już w XVI w., a potrawy z ryb, uznawane przez Kościół za postne, spożywano początkowo jedynie w zamożnych domach, nie tylko w Wigilię, ale także podczas postów, których nie brakowało przecież w kalendarzu liturgicznym. Wigilijną ucztę wieńczyły popularne i lubiane do dziś desery – kompot z suszonych śliwek, gruszek i jabłek oraz ciasta: strucle makowe, pierniki i pierniczki.

Reasumując, warto podać przykładowe menu. Jak wspomina Stanisław Wielowieyski, w latach 30. XX w. w majątku jego rodziców w Chełmie w Radomszczańskim podawano trzy zupy: rybną, grzybowa i „nic” lub barszcz z uszkami, karpia „z wody”, w galarecie i wędzonego na gorąco (specjalność domu w Chełmie), szczupaka (...) lub inne ryby słodkowodne (...), kompot z suszonych owoców (...), ziemniaki (...), groch z kapustą i z grzybami...

Przegląd tradycji wigilijnych w polskich dworach i dworach warto zakończyć spostrzeżeniem – dzięki temu, że upowszechniły się w całym społeczeństwie i były pielęgnowane przez Polaków w okresach historycznych zawirowań, nawet te, które nie miały bezpośrednich patriotycznych odniesień, awansowały do roli symbolu narodowego. Jest to jeden z licznych powodów, dla których warto je kontynuować.



Barbara Chlebowska
Muzeum Archeologiczne i
Etnograficzne w Łodzi

O jezuitach na ziemi łódzkiej

Rok 2012 został ustanowiony przez sejm Rokiem Janusza Korczaka, Józefa Ignacego Kraszewskiego, a także księdza Piotra Skargi. Warto więc przybliżyć postać tego kaznodziei oraz działalność w Łódzkiem jego jezuickich współbraci, którzy współtworzą najliczniejszy w Kościele katolickim męski zakon (17637 zakonników na początku 2012 r.).

Piotr Skarga (a właściwie Piotr Powęski) urodził się 2 lutego 1536 r. w Grójcu na Mazowszu. Nazwisko Skarga wywodziło się od przydomka, nadanego ojcu i przyjętego później przez niego jako godność rodowa. W 1569 r. wstąpił w Rzymie do jezuitów i kontynuował studia rozpoczęte w Krakowie. Działo się to 29 lat po zatwierdzeniu przez papieża tego zakonu, utworzonego przez św. Ignacego Loyolę pod nazwą Towarzystwo Jezusowe oraz zaledwie 5 lat po przybyciu na stałe do Rzeczypospolitej pierwszych jego przedstawicieli. Ksiądz Piotr Skarga zajął znaczące miejsce w historii Polski, głównie jako charyzmatyczny nadworny kaznodzieja króla Zygmunta III Wazy oraz autor Żywotów świętych i Kazań sejmowych. Ten zmarły 27 września 1612 r. w Krakowie teolog prowadził również działalność charytatywną, np. stworzył Bractwo Miłosierdzia (troska o najuboższych) i Skrzynkę św. Mikołaja (posagi dla ubogich dziewcząt).

O ważności dla kraju zakonu współbraci ks. Piotra może świadczyć chociażby fakt, iż spośród 5 współczesnych patronów Polski aż dwóch – św. Stanisław Kostka i św. Andrzej Bobola – należało do Towarzystwa Jezusowego. Współcześnie ok. 650 polskich jezuitów tworzy 2 prowincje zakonne. Dwie jezuickie placówki w Łódzkiem wchodzi w skład prowincji wielkopolsko-mazowieckiej.

Do Piotrkowa Trybunalskiego pierwsi zakonnicy z Towarzystwa Jezusowego

przybyli w 1558 r., jednak na stałe osiedlili się tam dopiero ponad sto lat później, po uzyskaniu zgody od króla Jana III Sobieskiego na budowę kościoła i kolegium. Obecnie w Piotrkowie jezuici posługują w kościele pw. św. Franciszka Ksawerego, sanktuarium Matki Bożej Trybunalskiej, patronki polskich parlamentarzystów (z obrazem koronowanym przez Benedykta XVI w Warszawie 26 maja 2006 r. koronami poświęconymi 27 października 2004 r. w Rzymie przez Jana Pawła II).

W Łodzi Towarzystwo Jezusowe jest od 1920 r. Pierwszą łódzką placówką jezuitów był w latach 1920-1930 kościół parafialny pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, a kolejną kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP (1930-1993, z przerwą na II wojnę światową). Do najbardziej znanych jezuitów, związanych z Łodzią, należą: o. Tomasz Rostworowski (1904-1974), o. Stefan Miecznikowski (1921-2004) i o. Józef Kozłowski (1951-2003). Pierwszy był wybitnym kaznodzieją, rekolekcjonistą, pisarzem, muzykiem pedagogiem, harcerzem, a w czasie II wojny światowej kapłanem Komendy Głównej Armii Krajowej podczas powstania warszawskiego. Po wojnie został m.in. pierwszym duszpasterzem akademickim w Łodzi. Od 5 lat w ramach festiwalu o. Tomasza Rostworowskiego są organizowane spotkania, koncerty itp. Ojciec Stefan Miecznikowski, także harcerz i duszpasterz akademicki, zapamiętany został głównie jako kapłan łódzkiej „Solidarności” w latach



O. Stefan Miecznikowski w domu rodziny Jażdżewskich, Łódź

1980-1981 i duszpasterz rodzin, a później jako opiekun aresztowanych, internowanych i prześladowanych politycznie w latach 80. XX w. Natomiast o. Józef Kozłowski był prekursorem katolickiej Odnowy w Duchu Świętym w Polsce. Znaczenie zaś łódzkich jezuitów w życiu miasta i archidiecezji potwierdza też fakt, iż w jednej z najmniejszych pod względem liczby ludności parafii działa ponad 50 różnych stowarzyszeń, grup modlitewnych itp. Jedną z takich grup, Iskra Bożego Miłosierdzia, ze względu na zainicjowanie i koordynowanie akcji modlitewnej „Koronka do Bożego Miłosierdzia na ulicach miast świata” jest już znana nie tylko w Polsce. A poprzez współczesne działania jezuici kontynuują często w mniejszym lub większym stopniu dzieła ks. Piotra Skargi.

Jakub R. F. Foremniak

Grobowiec jezuitów na cmentarzu katolickim na Dołach w Łodzi



Hubalowa wigilia

Pamięć o majorze Henryku Dobrzańskim „Hubalu” w regionie łódzkim jest wciąż żywa. Tradycją stały się „hubalowe wigilie” w opoczyńskim lesie nieopodal Studziannej. W tym roku wigilijne spotkanie, wspianała lekcja historii i patriotyzmu, odbyło się 7 grudnia. Mimo opadów śniegu i sporego mrozu dotarli wszyscy zaproszeni goście. Przy organizacji wigilii wspinała się młodzież.

Leśniczówka Bielawy koło Studziannej, po której dzisiaj nie ma śladu, w 1939 roku była zamieszkała przez leśniczego Józefa Żulikowskiego i jego żonę Marię oraz gajowego Aleksandra Pawłowskiego. Wszyscy byli uczestnikami konspiracyjnego związku „Ośrodków Bojowych”. W tej leśniczówce, po powrocie z Warszawy, kwaterował major Henryk Dobrzański „Hubal” wraz z kilkoma żołnierzami (od 23 grudnia do 1 stycznia 1940 roku). To tutaj, w sali myśliwskiej prezydenta Mościckiego, 23 grudnia odbyła się słynna wieczerza wigilijna z udziałem żołnierzy oddziału i kilkunastu leśników. Jako że wigilia 1940 roku wypadła w niedzielę, zgodnie z ówczesnymi zaleceniami Kościoła obchodzono ją dzień wcześniej. Sala udekorowana była flagami narodowymi, stoły suto zastawiono tradycyjnymi potrawami wigilijnymi, karpie dostarczyła właścicielka majątku w Kraśnicy pani Bąkowska. Przed tradycyjnym opłatkiem odśpiewano hymn państwowy. Przemawiając do zebranych, major „Hubal” mówił o patriotycznej postawie społeczeństwa

i jego pomocy dla oddziału, o tym, że cały kraj przystąpi niebawem do walki z okupantem, a wygrana jest blisko... Następnie Zygmuntowi Morawskiemu wręczył awans do stopnia podporucznika, a Romualdowi Rodziewiczowi do stopnia plutonowego. Wszyscy żołnierze otrzymali gwiazdkowe prezenty: szale, swetry, rękawice, ciepłą bieliznę osobistą. Prezenty były darem społeczeństwa Kielc, Opoczna i Tomaszowa Mazowieckiego, a dotarły do Bielaw przez punkty łączności, głównie zainstalowane w gajówkach i leśniczówkach, pozostających w nadzorze leśniczego „Wrony”. Po wyjeździe gości major pozwolił żołnierzom na dalsze toasty i dokończenie kolacji.

Maria Żulikowska tak o tym pisze w swoich wspomnieniach: „Pamiętam, jak major siedział przy kominku podparty na łokciu, burka zwiisała mu z ramienia, ogień buzował, naokoło siedziały jego chłopaki i śpiewały pieśni”. Po wigilii w leśniczówce Bielawy pozostał major z najbliższymi członkami swego sztabu, reszta żołnierzy kwaterowała

w pobliskiej gajówce u gajowego Adama Kaczmarka.

Od wielu lat pamięć tego miejsca jest kultywowana poprzez grudniowe „hubalowe wigilie”. Inicjatorami tych wydarzeń są pedagodzy ze szkół noszących imię majora „Hubala”, leśnicy z regionalnych Dyrekcji Lasów Państwowych w Łodzi i Radomiu, członkowie kół kombatanatów i tradycji oręża, harcerze, samorządowcy oraz przedstawiciele Zespołu Nadpilicznych Parków Krajobrazowych. Ale tak naprawdę to honorowy hubalczyk, kustosz tradycji wojskowych, wybitny znawca oddziału „Hubala” płk Marian Zach zapoczątkował tradycję tych spotkań wigilijnych. Pan Zach jako 14-letni chłopak zetknął się wielokrotnie z mjr. Henrykiem Dobrzańskim, zaś kilku członków jego rodziny było żołnierzami tego oddziału. W jego domu rodzinnym leżeni byli ranni hubalczyki. Pamięta dobrze również tę wilię w 1939 roku, a wspomnieniami wspinała ożywia spotkania na Bielawach.

Piotr Wypych





Zenon Płoszaj



Roman Bartoszek



Tomasz Bartoszek



Agata Piotrowska-Bartoszek

Muzyka rodzinnego domu

„...prawdziwy sukces osiąga się jedynie wtedy (...), gdy potrafi się przełączyć własne głębokie wzruszenie w muzykę, którą się naprawdę kocha i rozumie”

Artur Rubinstein

Wiele jest rodzin, w których muzyka obecna jest zwłaszcza podczas świąt czy rodzinnych uroczystości; wiele, dla których staje się ważną częścią życia, dużo mniej natomiast takich, które na przestrzeni kilku pokoleń wydały wybitnych artystów. Taką jest rodzina łódzkiego pianisty Tomasza Bartosza.

W powojennych czasach cała rodzina mieszkała w jednym domu. Przepiętny był on muzyką, pomimo że nie wszyscy uprawiali ją profesjonalnie. Muzyczną atmosferę tworzyli wszyscy, począwszy od Zenona Płoszaja (brata babci Tomasza), który muzyczne zainteresowania przejął od swojego ojca Lucjana. Ojciec nie tylko grał, ale i zbudował dwójce skrzypiec – jedno z myślą o 10-letnim wówczas synu. Chłopiec okazał się wybitnie uzdolniony (grał także na fortepianie i organach). Po wojnie ukończył studia, został laureatem m.in. Międzynarodowego Konkursu im. H. Wieniawskiego. Był wybitnym skrzypkiem, pedagogiem, rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Ukończenie studiów dla niego finansowo jednak nie było łatwe i dla podreperowania budżetu założył zespół (grał w nim m.in. znany dziś kompozytor Waldemar Kazanecki), z którym występował w różnych lokalach.

Próby tego właśnie zespołu odbywały się w domu. Dla małego Romana Bartosza (ojca Tomasza) stało się to okazją do kontaktu z różnymi instrumentami. Najbardziej podobał mu się fortepian. Pomimo dużych uzdolnień

rozpoczął jednak na nim naukę zbyt późno (w wieku prawie 10 lat), aby myśleć o karierze pianisty. Nie zerwał jednak z muzyką. Zakładał zespoły rozrywkowe, ukończył średnią szkołę muzyczną w klasie fagotu. Zawodowo zajął się dziedziną ściśle z muzyką związaną – realizacją dźwięku.

Tomasz także dorastał w tym domu, w którym muzyka była obecna, edukację na fortepianie rozpoczął w wieku lat sześciu (Zenon Płoszaj widział w nim przyszłego skrzypka) i ta początkowo „zabawa w muzykę” przekształciła się w chęć zajmowania się nią w sposób profesjonalny i, co jest rodzinną cechą, wszechstronny. W podstawowej szkole muzycznej uczył się grać na gitarze (jako licealista grał na gitarze elektrycznej), w liceum muzycznym na fagocie, uzyskał nawet w tym zakresie dyplom. Fortepian ukończył z wyróżnieniem.

Studia w Akademii Muzycznej w Łodzi również ukończył z wyróżnieniem (w klasie fortepianu Tadeusza Chmielewskiego). Dwukrotnie reprezentował Polskę na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie; doszedł do II etapu. Został też laureatem „Estrady Młodych” na XXVII Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku.

Jako solista koncertował we Włoszech, Szwajcarii, Austrii, Niemczech, Czechach, Japonii, Holandii, Szwecji. Z orkiestrą Capella Cracoviensis odbył tournée po Japonii, wystąpił w największych salach koncertowych. Grał z wieloma

orkiestrami, także z Sinfonią Varsovią. Z Trio Polskim występował w Islandii, Niemczech, Szwajcarii, Austrii, Włoszech, Algierii, Norwegii, Francji, Japonii, Tunezji. Zespół nagrał też z wybitnym francuskim kłarnecistą Jean-Marc Fessardem wysoko ocenianą płytę Kwartet na koniec czasu Olivera Messiaena. Dokonał licznych nagrań archiwalnych dla Polskiego Radia, nagrywał m.in. dla telewizji holenderskiej oraz muzykę filmową.

Koncertuje także z żoną Agatą Piotrowską-Bartoszek, pierwszą oboistką orkiestry Filharmonii Łódzkiej, orkiestry Teatru Wielkiego w Łodzi, pedagogiem Akademii Muzycznej w Łodzi (dyplom z wyróżnieniem), laureatką konkursów międzynarodowych, m.in. Grand Prix na Międzynarodowym Akademickim Konkursie Oboistów i Fagocistów w Łodzi. Jako solistka koncertowała m.in. w Filharmonii Narodowej, w której również, na zaproszenie Kazimierza Korda, dwukrotnie brała udział w Forum Witolda Lutosławskiego.

W Akademii Muzycznej w Łodzi Tomasz Bartoszek prowadzi klasę w katedrze fortepianu. Jednym z jego wychowanków jest Piotr Łapiński, laureat trzech międzynarodowych konkursów pianistycznych we Włoszech.

Tomasz Bartoszek realizuje rozwija także swoje zainteresowania z zakresu tworzenia muzyki i obróbki materiału dźwiękowego.

Marek Chudobiński
fot. arch. rodzinne



Dobry adres

Rozmowa z Ryszardem Szymanowskim, dyrektorem Stowarzyszenia Nasza Galeria i menedżerem projektu pierwszej w Polsce galerii wystawienniczo-handlowej dla profesjonalnych artystów niepełnosprawnych.

Nasza Galeria działa już siedem lat, przez ten czas wiele się zmieniło, także w postrzeganiu potrzeb i społecznej roli osób niepełnosprawnych. Jak to wygląda z perspektywy pana, menedżera i artysty?

Kiedy człowiek traci pełną sprawność, musi przewartościować swoje życie. Ma wtedy więcej czasu dla siebie, przypomina sobie o porzuconych pasjach, niespełnionych marzeniach. Tak było i ze mną. Zawsze lubiłem malować i rysować, ale dopiero problemy zdrowotne pozwoliły mi na profesjonalne zajęcie się sztuką. Pomyślałem sobie wtedy, że takich ludzi jak ja jest więcej, więc kiedy w 2005 roku Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych uruchomił Program Integracji Osób Niepełnosprawnych (PION), opracowałem i złożyłem wniosek stworzenia miejsca przyjaznego twórcom z niepełnosprawnością, galerii wystawienniczo-handlowej, prowadzonej przez artystów dla artystów. Tak właśnie powstała Nasza Galeria. Entuzjazm, który towarzyszył jej powstaniu jeszcze w 2005 roku, zaowocował autorskim projektem „Łódzkie warte utrwalenia i pokazywania”, który z sukcesami kontynuujemy do dziś, przy wsparciu finansowym Urzędu Marszałkowskiego. To doskonały pomysł na połączenie twórczej aktywizacji osób niepełnosprawnych i promocji regionu. Raz do roku latem zbieramy grupę kilkunastu najlepszych pejzażystów Naszej Galerii i jedziemy w wybrane miejsce naszego województwa, gdzie malujemy pejzaże, zabytki architektury, pomniki przyrody. Efektem takich plenerów są wystawy, albumy, kalendarze promujące Łódzkie w Polsce i za granicą, oczywiście także piękne prace, którymi handlujemy.

Siedziba Naszej Galerii, obecna i poprzednie, znajduje się w Łodzi,

ale stowarzyszenie ma zasięg ogólnopolski, kto zatem do was należy?

Zaczynaliśmy z twórcami lokalnymi z Łodzi, Pabianic, Aleksandrowa. Obecnie zrzeszamy 83 artystów z całej Polski. Kto się do nas zgłasza? Artyści po wyższych uczelniach plastycznych, ale też ludzie bez kierunkowego wykształcenia, którzy odkryli talent po chorobie, wypadku, czasami wrócili do pasji z dzieciństwa. Znajdują nas przede wszystkim przez stronę internetową podczas ekspozycji na terenie kraju, a my utwierdzamy ich, że sztuka to doskonały pomysł na życie. Tak było chociażby z naszym doskonałym rysownikiem Rafałem Kulikiem z Sierakowa Śląskiego. Artysta zgłosił się najpierw do gminnego ośrodka kultury w swoich stronach, gdzie doradzono mu, aby wrzucił swoje rysunki do pieca... Na szczęście nie posłuchał tej „życzliwej” rady i przesłał prace do Naszej Galerii. Współpracujący z nami wówczas profesor Ryszard Hunger z łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych zachwycił się ich doskonałą kreską. Odkrywamy więc talenty, aktywizujemy artystów twórczo i towarzysko, czasami nawet uzdrawiamy! Proszę sobie wyobrazić, że pani Cecylia Januszkiewicz-Wojtysiak, osoba schorowana i w podeszłym wieku, jak się dowiedziała, że organizujemy wystawę indywidualną jej prac, od razu poczuła się na tyle lepiej, że wypisano ją ze szpitala. W ogóle nasi artyści na wieść, że w końcu, po dwóch latach morderczej walki z biurokracją i administracją, będziemy mieć nową siedzibę, nagle masowo wracają do zdrowia!

Nowy lokal to nowe wyzwania, plany, marzenia – pana i artystów Naszej Galerii.

Chciałbym, aby było to przede wszystkim miejsce integracji i spotkań towarzyskich, miejsce do dyskusji przy kawie, herbacie, może własnym cieście – w tym celu powstanie kącik kawiarniany.

Ponieważ dostaliśmy od Urzędu Miasta lokal o powierzchni 219 m², uruchomimy pracownię plastyczną, którą poprowadzi profesor Marek Sak. Nie każdy artysta ma przecież warunki do pracy w domu. Prace przechowywać będziemy w specjalnym magazynie na zapleczu. Liczę, że zajęcia w pracowni jeszcze bardziej zintegrują naszych artystów, tak jak wyjazdy plenerowe po województwie. Pamiętajmy, że plenery spełniają, obok waloru poznawczego czy artystycznego, również rehabilitacyjny – dla niektórych twórców to jedyny w roku wyjazd poza miasto. Ponieważ galeria nadal będzie miała charakter wystawienniczo-handlowy (80% kwoty trafia do autora, 20% wspomaga stowarzyszenie), chciałem w jedną z witryn okiennych wstawić ekran i całodobowo wyświetlać na nim prace, jakie mamy w ofercie. Taka projekcja multimedialna to doskonała promocja i zachęta, żeby nas odwiedzić, zwłaszcza że wejście jest bezpośrednio z ulicy. Dzięki uporowi dostaliśmy lokal po sklepie Karuzela. Największym atutem naszej nowej siedziby przy ulicy Piotrkowskiej 17 jest wejście bezprogowe, czyli przyjazne ludziom na wózkach, dla których mamy także toaletę. Najbardziej reprezentacyjna ulica w naszym mieście ma szansę stać się przyjazna dla osób niepełnosprawnych! Możemy w końcu odetchnąć i zająć się naszymi sprawami, dlatego w 2013 roku wracamy do projektu „Łódzkie warte utrwalenia i pokazywania” (w powiecie bełchatowskim i pączękańskim).

Może, korzystając z tej lokalizacji, robi pan też plener na Piotrkowskiej?

Pomysłów jest wiele, chęci do realizacji jeszcze więcej, dlatego zwracam się do wszystkich decydentów: dajcie nam robić swoje a będzie coraz lepiej.

Rozmawiała
Monika Nowakowska

Przystanek Opoczno

Opoczno to przede wszystkim ceramiczne i folklorystyczne zagłębie kraju. To również ekologiczna i malownicza gmina, leżąca w południowo-wschodniej części województwa łódzkiego, uhonorowana tytułem ekolidera województwa łódzkiego.



Opoczno jako jedyne miasto w województwie łódzkim posiada dwie obwodnice: południową, w ciągu drogi krajowej nr 12 Łódź-Lublin, oraz północno-zachodnią, łączącą krajową 12 z drogą wojewódzką 726 Rawa Maz.-Żarnów. Za rok na centralnej magistrali kolejowej uruchomiony będzie przystanek kolejowy Opoczno Południe, z bezpośrednimi połączeniami do Warszawy, Katowic i Krakowa.

Ostatnie lata to dynamiczny rozwój gminy, głównie dzięki inwestycjom współfinansowanym ze środków Unii Europejskiej.

– Wielkość nakładów na inwestycje, w przeliczeniu na jednego mieszkańca, pretenduje nas do miana inwestycyjnego lidera regionu, obejmującego dawne województwo piotrkowskie – mówi burmistrz Opoczna Jan Wieruszewski. – Jesteśmy nowoczesną gminą z dwiema obwodnicami miasta, modernizowanym układem sieci dróg oraz najnowocześniejszym w województwie Zakładem Unieszkodliwiania Odpadów.

Wizerunek nowoczesnej gminy uzupełniają inwestycje prospołeczne: zmodernizowany Miejski Dom Kultury, unowocześniane placówki oświatowe, świetlice wiejskie oraz sieć strażnic OSP, wyposażonych w nowoczesny sprzęt ratunkowy. Z myślą o najmłodszych powstały place zabaw i ogródki dydaktyczne, a w ramach programu „Moje boisko – Orlik 2012” utworzono dwa zespoły boisk sportowych.

Opoczno wielokrotnie podczas realizacji inwestycji korzystało ze środków unijnych. W ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dofinansowane zostały m.in. projekty: budowa sali sportowej z zapleczem przy Szkole Podstawowej w Bielowicach, gmina Opoczno, z dokończeniem

budowy ogrodzenia szkoły, budowa północno-zachodniej obwodnicy miasta Opoczno dla dróg: krajowej nr 12, wojewódzkiej nr 726 w ciągach ulic: Przemysłowej nr 3133 E i Świerkowej nr 3132 E, budowa kanalizacji sanitarnej

Opoczno to centrum życia kulturalnego regionu, słynącego z tradycji i kultury ludowej.

w gminie Opoczno – I etap (zlewnia Libiszów), budowa zintegrowanego systemu bezpieczeństwa gminy Opoczno, rewitalizacja przestrzeni publicznych zabytkowego centrum Opoczna – etap I oraz budowa Domu Ludowego i świetlicy w Kraśnicy. Największym projektem, dofinansowanym z środków RPO, była budowa Zakładu Unieszkodliwiania Odpadów w Różannie o wartości ponad 30 mln zł.

– Gmina zamierza przyciągnąć inwestorów, głównie przez tworzenie warunków do rozwoju przedsiębiorczości. Stosujemy ulgi i zwolnienia podatkowe nowych inwestycji, uzbrajamy tereny inwestycyjne – kontynuuje burmistrz Jan Wieruszewski.

W ostatnich latach powstała nowa infrastruktura, a obydwie obwodnice umożliwiły dostęp do terenów inwestycyjnych i przemysłowych wzdłuż wybudowanych dróg. Na terenie miasta istnieje podstrefa Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, a na inwestorów

czekają atrakcyjne tereny przemysłowe.

Według władz gminy, bez pomocy i wsparcia samorządu województwa oraz jego instytucji nie byłoby tak znacznego przyspieszenia realizacji wielu inwestycji, mających bezpośredni wpływ na rozwój Opoczna.

– Zawsze mogliśmy i możemy liczyć na wsparcie i merytoryczną pomoc pracowników Urzędu Marszałkowskiego oraz WFOiGW – mówi burmistrz Jan Wieruszewski. W 2011 r. gmina Opoczno otrzymała z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Łodzi środki na utworzenie przyszkolnych ogródków dydaktycznych. W 2012 r. uzyskano środki na utworzenie kolejnych trzech ogródków dydaktycznych, a w trzech szkołach utworzone zostały pracownie przyrodnicze.

– Opoczno to centrum życia kulturalnego regionu, słynącego z tradycji i kultury ludowej. Oryginalność Opoczyńskiego tworzą zespoły ludowe, kilkudziesięciu twórców ludowych oraz koła gospodyń wiejskich. Na terenie gminy działają plastycy, muzycy, zespoły taneczne i muzyczne – mówi burmistrz Jan Wieruszewski.

Opoczno to również doskonałe miejsce na odpoczynek w centrum Polski, gdzie na turystów czeka dobrze rozwinięta baza noclegowa, m.in. stacja harcerska oraz całoroczne gospodarstwa agroturystyczne.

Tradycyjnie w grudniu w Opocznie odbywają się eliminacje rejonowe do Diecezjalnego Festiwalu Kołęd i Pastorałek. Festiwal co roku gromadzi kilkuset wykonawców z całego województwa łódzkiego oraz z powiatów w województwach ościennych: świętokrzyskim i mazowieckim.

Krzysztof Karbowski
fot. Dominik Bartkiewicz

Łódzkie Boże Narodzenie

Święta Bożego Narodzenia, najradośniejsze dni w roku, wielokrotnie zbiegały się w dziejach Łodzi ze znaczącymi wydarzeniami.



Dodatek Literacko-naukowy
do „Republiki” z 24.12.1938 r.

Rok 1827 przyniósł w gwiazdkowym prezencie nowy okazały gmach ratusza oraz zatrudnienie pierwszego stałego policjanta miejskiego. W roku 1846 otwarto kolej warszawską w Kuluszkach, do której za 30 kopiejek można było dojechać furmanką, a 21 lat później gwiazdkowym podarunkiem stała się dla Łodzi kolej warszawsko-wiedeńska... Takimi podarunkami były także z pewnością pierwsza lampa gazowa oświetlająca ulicę, pierwszy zainstalowany w grudniu 1881 roku aparat telefoniczny, uruchomienie miejskich elektrycznych tramwajów w roku 1898 czy światło pierwszej, zapalanej w centrum miasta, elektrycznej latarni w 1907 roku...

W okresie świątecznym miasto było także świadkiem dramatycznych zdarzeń, jak chociażby w 1904 roku, kiedy radosny nastrój świąt zakłóciła branka do rosyjskiego wojska, w kolejnym roku, kiedy „do mieszkań robotniczych wdzierały się w dni wigilijne watahy kozacko-żandarmerskie, uprowadzając mężów, ojców i braci”. Rok 1908 był, jak opisywano później w prasie, szczególnie

„krwawy”. Najtrudniejsze były jednak święta w 1914 roku. W pozbawionym żywności i opału mieście palono wszystkim, co tylko dawało się spalić, a „uczta wigilijna składała się z osolonych ziemniaków i pastewnych buraków”.

Święta Bożego Narodzenia były czasem, w którym organizowano spotkania opłatkowe, często połączone z wystawieniami jasełkowymi, wręczaniem prezentów i wspólnym kołędowaniem. Przybytki kultury także starały się zapewnić świąteczny czas atrakcyjnymi wydarzeniami, do udziału w spektaklach teatralnych, koncertach czy w kabaretach zapraszając niejednokrotnie wybitnych artystów.

Starano się także, aby dostępność tych wydarzeń była jak najszersza. Oferowano więc bilety po cenach obniżonych, np. w sobotę 25 grudnia 1915 roku Teatr Polski dawał po cenach obniżonych obraz historyczno-ludowy w siedmiu obrazach „Kościuszko pod Racławicami” A.W. Lasoty oraz z udziałem 120-osobowego chóru tow. im. Stanisława Moniuszki „Betlejem polskie (jasełka)” Lucjana Rydla. W hotelu Savoy oferowano występy kabaretu BI-BA-BO, a w sali koncertowej (dawnym Domu Koncertowym Ignacego Vogla) koncert symfoniczny w wykonaniu powstałej kilka miesięcy wcześniej Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej. W następnym roku od 24 grudnia zespół Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej zapraszał widzów na projekcje filmowe z towarzyszeniem „żywej” muzyki w swoim wykonaniu.

Przyszła rok 1918 i początek najradośniejszych od wielu lat świąt obwieścił głos dzwonu łódzkiej katedry. Wolność nie oznaczała jednak poprawy życia wszystkich mieszkańców miasta, dlatego też co roku organizowano pomoc zimową dla najuboższych, a zajmowały się tym specjalnie powoływane komitety oraz redakcje ukazujących się w Łodzi gazet. Zamiast świątecznych życzeń, składano ofiary pieniężne: na rzecz Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy, na sieroty i dzieci biednych rodziców, na pomoc zimową bezrobotnym, dla najbiedniejszych mieszkańców Łodzi itd.

Akcja ta w 1938 roku, ostatnim przed wybuchem II wojny światowej, miała nawet swoje, wyróżnione w konkursie,

hasło: „Pomoc zimowa to czyn, nie słowa”. Miejski komitet, kierujący wówczas akcją, poinformował w Wigilię, że opieką zimową zostało już objętych blisko 15.000 osób, które otrzymały „strawę gotowaną, żywność suchą i opał”, a bezrobotni, korzystający ze stawy gotowanej, świąteczne paczki żywnościowe. Wprowadzono do obiegu znaczki pocztowe pomocy zimowej. Miejski Komitet Pomocy Bezrobotnym w Łodzi zorganizował 29 grudnia o godz. 21 w sali filharmonii koncert „Na pomoc dzieciom bezrobotnych”, w którym m.in. wystąpili sławny baryton Alfred Orda-Wdowczyk oraz Orkiestra Związku Zawodowego Muzyków Chrześcijan w Łodzi.

W tej samej sali koncertowej występował teatr żydowski „Folks un Jugot Teatr”, który w drugi dzień świąt zapraszał na spektakl „Burza” Williama Szekspira. Zapraszano także na wielki koncert mistrzowski Ady Sari oraz ulubieńca Łodzi, laureata konkursu chopinowskiego w Warszawie, niewidomego węgierskiego pianisty Imre Ungara. Na scenie występował Ludwik Solski, grano operetkę „Nitousche” w inscenizacji Leona Schillera, dzieci zapraszano do teatru na „Kota w butach”...

Handel organizował kiermasze, jarmarki, wyprzedaże, oferując różne towary, m.in. „piękne kołnierze z piór dla pań bardzo tanio (...), wełny z jedwabiem, korciki i satyny na suknie, bostony, szewiaty, zimowe towary z dobrego gatunku na męskie i damskie palta, kostiumy oraz balowe, żałobne towary”, przypominając, że na wytworny styl i elegancję mody zimowej 1938 r. składała się „dobór wspaniałych tkanin, bogactwo i różnorodność barw, urozmaicenie form i wyrafinowanie linii kroju”.

Hitem ostatnich przed II wojną świąt Bożego Narodzenia było jednak radio, przebojem zdobywające świat. Odbiorniki oferowały firmy: Telefunken, Elektrit, Union, Kosmos... W 1938 roku pierwszego dnia świąt na ogólnopolskiej antenie radiowej można było usłyszeć kolędy w wykonaniu chóru „Harmonia” z towarzyszeniem orkiestry pod dyрекcją Karola Prosnaka.



Amerykański sen Łasku

Wprawdzie w Łasku nie powiewa jeszcze amerykańska flaga i mieszkańcy nie pieką indyka na Święto Dziękczynienia, ale wiele wskazuje, że może się to zmienić. Wszystko za sprawą lotników z Av-Det.

Za tą tajemniczą nazwą, będącą skrótem od Aviation Detachment, kryje się pierwszy w historii Polski stały amerykański pododdział na naszej ziemi. Przygotowania do jego ulokowania w 32. Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku trwały prawie 2 lata. Na początku listopada zjawili się tu 10 osób – pilotów i techników – pod dowództwem majora pilota Matthew Spearsa. Mają przygotować przyszłoroczne ćwiczenia, w których może wziąć udział nawet 250 Amerykanów.

– Av-Det stanowi „wysunięty przyczółek” 52. grupy operacyjnej, lotniczego komponentu 52. skrzydła myśliwskiego, należącego do Zgrupowania Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie – wyjaśnia kapitan Marek Kwiatek, rzecznik prasowy łaskiej bazy. – Miejscem stacjonowania 52. grupy operacyjnej jest niemiecka baza Spangdahlem. Av-Det ma wzmacniać współpracę wojskową Polski i USA poprzez organizację ćwiczeń z udziałem amerykańskich pilotów eskadry myśliwców F-16 lub klucza herculesów. Takie ćwiczenia będą organizowane raz na kwartał w jednej z trzech baz – w Łasku, Krzesinach lub Powidzu. Na początku przyszłego roku miejscem ćwiczeń będzie Łask.

Łask i podpoznańskie Krzesiny to obecnie dwie najnowocześniejsze bazy lotnictwa wojskowego w Europie. Polska, kupując samoloty F-16, musiała

dostosować całą infrastrukturę do obsługi tych nowoczesnych maszyn. Nic dziwnego, że w ostatnich latach zaszły w tych bazach kolosalne zmiany. W Łasku całkowicie zmodernizowano m.in. drogę startową, drogi kołowania, hangary, wieżę portu lotniczego, budynki ochrony. Lotnisko wygląda teraz jak nowe, co zrobiło na Amerykanach duże wrażenie. A przecież to bardzo doświadczeni piloci, którzy brali udział w operacjach w Iraku, Afganistanie czy Libii. Major Spears, mający na koncie ponad 1600 godzin za sterami F-16, stacjonował ostatnio w Japonii, choć wcześniej był w Polsce jako instruktor. Przyznaje, że warunki szkoleniowe w 32. Bazie Lotnictwa Taktycznego są znakomite.

Pojawienie się stałego pododdziału amerykańskiego w łaskiej bazie było dużym wydarzeniem. W czasie uroczystości inaugurującej pobyt amerykańskich pilotów wielokrotnie podkreślano, że to kolejny krok w budowaniu relacji polsko-amerykańskich. Polscy piloci F-16, wykształceni w USA, zyskali możliwość doskonalenia swych umiejętności. Chodzi m.in. o odpowiednie zgranie personelu inżynieryjno-lotniczego oraz naziemnej obsługi w działaniach koalicyjnych. Być może w przyszłości odbywać się będą także wspólne ćwiczenia w powietrzu z udziałem pilotów z innych państw NATO.

Na korzyści płynące z obecności Amerykanów liczą też mieszkańcy Łasku. Realia są jednak nieco inne. – Dla nas to przede wszystkim ogromna promocja, choć chciałbym, aby amerykańscy żołnierze byli bardziej widoczni w mieście – przyznaje Gabriel Szkudlarek, burmistrz Łasku. – Nie jest to jednak łatwe, bo mieszkają w Łodzi, która ma znacznie więcej do zaoferowania. Gdyby tych żołnierzy było w bazie więcej, korzyści dla nas też mogłyby być większe.

Choć baza znajduje się na terenie gminy Buczek, to właśnie Łask ma więcej powodów do zadowolenia. Lotnicza baza jest największym pracodawcą w regionie, a większość pracowników i żołnierzy mieszka właśnie w Łasku, gdzie płacą podatki. Dla miasta, borykającego się ze znacznym bezrobociem, jest to bardzo istotne. Wszyscy mają świadomość, że bez wojska żyłoby się tu znacznie gorzej. Mieszkańcy też liczą, że wkrótce obecność amerykańskich pilotów będzie bardziej widoczna. Na razie z radością przyjęli koncert wojskowej orkiestry na rynku oraz – robiący wrażenie – przelot dwóch samolotów F-16 w czasie uroczystości obchodów Święta Niepodległości 11 listopada. Za kilka tygodni, przy okazji planowanych ćwiczeń, takich atrakcji może być więcej. A i sam Łask stanie się, przynajmniej na miesiąc, bardziej amerykański.

Andrzej Marciniak



O ochronie przeciwpowodziowej

Ponad 20 uchwał o charakterze budżetowym przyjęli radni podczas XXX sesji Sejmiku Województwa Łódzkiego. Wysłuchali także informacji o funkcjonowaniu i wyposażeniu Wojewódzkiego Magazynu Przeciwpowodziowego i Kryzysowego.



Bogumił Kazulak, dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych, przedstawił sejmikowi najważniejsze informacje na temat wspomnianego magazynu. Ze specjalnie przygotowanej prezentacji multimedialnej radni dowiedzieli się m.in., jakie wyposażenie znajduje się w magazynie, jaka jest wartość specjalistycznego sprzętu zgromadzonego w czterech wchodzących w jego skład obiektach (Chojne, Białaczów, Poddębice i Wieluń) oraz obejrzeli fotografie tych obiektów wraz z wyposażeniem. Dyrektor Kazulak zapoznał także radnych z działaniami, podejmowanymi przez Wojewódzki Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych w Łodzi w zakresie ochrony przeciwpowodziowej, procedurami działania na wypadek wystąpienia powodzi i innych sytuacji kryzysowych, a także współpracą WZMiUW w Łodzi z Państwową Strażą Pożarną.

Na początku sesji klub radnych

SLD zaproponował wprowadzenie do porządku obrad stanowiska sejmiku, dotyczącego niekorzystnego – zdaniem strażackich związków zawodowych – podziału środków dla Państwowej Straży Pożarnej z województwa łódzkiego (m.in. na podniesienie dobowych stanów osobowych). W związku z tym, że sprawą zajmuje się już Komisja Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego, Sejmik uznał, że należy poczekać na opinię komisji i w głosowaniu odrzucił wniosek. Jak zaznaczył Marek Mazur, przewodniczący sejmiku, wszystkim radnym zależy na wspieraniu straży pożarnej, zarówno zawodowej, jak i ochotniczej (czemu samorząd województwa daje wyraz każdego roku, przekazując strażakom poważne środki finansowe, m.in. na zakup specjalistycznego sprzętu), jednak należy zawsze zachować procedury i dopiero po zasięgnięciu opinii wszystkich zainteresowanych stron podjąć stanowisko w tej sprawie.

Rafał Jaśkowski



Pracownicy Łódzkiej Huty Szklanej
Geha S.A. w 1921 r.

Od manufaktury

Od połowy XIX w. do dziś manufaktura towarzyszy fabryce, głównemu nurtowi produkcji przemysłowej, i nic nie zapowiada jej schyłku.

Poszukując swoistości regionu łódzkiego za rzadko chyba odwołujemy się do XIX wieku. Owszem, doceniać trzeba bogatą spuściznę średniowiecza i czasów nowożytnych (XVI-XVIII w.), czyli epok, z których wywodzi się wiele wątków do dziś obecnych w kulturze, i to nie tylko ludowej. Wydała ziemia łódzka znakomitych przedstawicieli życia umysłowego, polityków, duchownych, kompozytorów, pisarzy, drukarzy. Bez ich dokonania obraz kultury staropolskiej byłby uboższy. Mimo wielu burz dziejowych przetrwały też znakomite pomniki przeszłości w postaci zabytków architektury drewnianej i murowanej. Podnoszą one atrakcyjność turystyczną województwa, nie stanowią jednak o jego specyfice. Dopiero XIX stulecie, wiek elektryczności i pary, przeobraziło tę część ziem polskich. Łódź, otoczona wieńcem miast satelitów, stała się wówczas gospodarczym centrum, którego oddziaływanie, ułatwione poprzez sieć dróg bitych i żelaznych, promieniowało szeroko. W ciągu niespełna stu lat (1820-1914) w rolniczy krajobraz wkomponowały się miasta przemysłowe, i to one zaczęły nadawać ton regionowi.

Choć zabrzmi to paradoksalnie, ziemia łódzka powinna być kojarzona z manufakturą, rozumianą jako sposób produkcji różnych artykułów.

Manufaktura to już nie rzemiosło, ale jeszcze nie fabryka, bo choć tu i ówdzie stosowano koło wodne czy kierat konny do napędu niektórych prostych maszyn, to w podstawowym cyklu wytwarzania niezbędne były ludzkie ręce. W latach 20. XIX w. była manufaktura symbolem postępu technicznego. Od połowy XIX w. do dziś towarzyszy głównemu nurtowi produkcji przemysłowej – fabryce, i nic nie zapowiada jej schyłku. Twórcy pierwszych manufaktur w okręgu łódzkim nie byli włókiennikami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Z reguły posiadali doświadczenie kupieckie, głównie w handlu suknem lub płótnem, oraz posiadali wiedzę, a czasem i doświadczenie w organizacji manufakturowego sposobu produkcji. Warto przypomnieć zabiegi Rajmunda Rembielińskiego, aby sprowadzić do miast w podległym mu województwie „zdatnych manufakturzystów”. To oni dali początek przedsiębiorstwu w Łodzi, Ozorkowie, Pabianicach, zanim zadymiły tam pierwsze kominy fabryczne. Tym samym tropem szli właściciele Ozorkowa, Tomaszowa Mazowieckiego. Blisko pół wieku między manufakturami i warsztatami rzemieślniczymi a fabrykami trwała rywalizacja o prymat. Zdarzały się buntury tkaczy rzemieślników, usiłujących niszczyć maszyny fabryczne, w których upatrywali przyczyny swego

ubożenia. Dopiero w latach 70. XIX w. fabryki włókiennicze zdystansowały manufaktury pod względem wielkości produkcji, ale nie oznaczało to końca manufaktury. Niemal wszystkie fabryki włókiennicze wykorzystywały tę formę wytwarzania jako niezwykle korzystną i zyskową. Produkcja chałupnicza, czyli nakładcza, to nic innego, jak manufaktura rozproszona. Nakładca nie ponosi żadnych kosztów związanych z utrzymaniem warsztatów (ogrzewanie, oświetlenie), łatwo może ukryć ich rzeczywistą liczbę, ma większą swobodę w ustalaniu wynagrodzenia za pracę. Charakterystyczne dla manufaktury są też krótkie serie wyrobów, zróżnicowanych pod względem wzornictwa, kolorystyki, sposobu wykończenia. Pozwala to wzbogacić asortyment wyrobów, szybciej nadążać za potrzebami rynku czy wymogami mody. Nic dziwnego, że produkcją chałupniczą wspierali się nawet potentaci: Izrael K. Poznański, Szaja Rosenblatt, Karol Eisert i inni. Podobnie było w okresie międzywojennym. Ogromne partie wyrobów dziewiarskich z łódzkiej fabryki Leona Plihala poddawano prostym pracom wykończeniowym w wiejskich chałupach w regionach opoczyńskim i świętokrzyskim. W Zdunskiej Woli, Łasku, Żelowie i w okolicznych wsiach czynne były warsztaty tkackie, pracujące



do Manufaktury

Centrum Handlowe
„Manufaktura” w Łodzi

na rzecz dużych fabryk okręgu łódzkiego. Znaczną część produkcji stanowiły narzuty na łóżka i kilimy ścienne.

Były też inicjatywy indywidualne organizowania manufaktur, produkujących na wąski, lokalny rynek. Jedną z nich była czynna do 1974 r. manufaktura wełniana rodziny Winklów w Lipcach Reymontowskich. Założona została przez Ludwika Winkla, zdolnego robotnika, który, pracując w jednej z łódzkich fabryk wełniarskich, nabył umiejętności, aby samodzielnie poprowadzić mały zakład przerobu wełny. Uruchomił go w latach 90. XIX w., a szczyt rozwoju przedsiębiorstwa, w którym pojawiły się nowe zmechanizowane działy, a przede wszystkim prowadzona przez syna Jana ręczna farbiarnia, przypadł na lata 30. XX w. Manufaktura Winklów, produkująca dobrą jakościowo, trwale i atrakcyjnie barwioną przędzę, stała się swego rodzaju „dyktatorem mody” wśród Księżaków łowickich. Lipieckie wełniaki zamawiane były przez nabywców, gotowych pokonać 30-40 km, by nabyć tę wymarzoną część tradycyjnej odzieży. Unikatowy w skali kraju zespół maszyn i urządzeń włókienniczych, składających się na wyposażenie manufaktury, znajduje się dziś w Muzeum Regionalnym im. W.S. Reymonta. Z różnych przekazów wiadomo, że podobna manufaktura czynna była w Jarostach. W jej wyroby zaopatrywała się ludność wiejska z powiatu piotrkowskiego.

A przecież i Piotrków miał swoją manufakturę! Manufaktura Piotrkowska

– tak nazywała się uruchomiona w 1896 r. największa w trybunalskim grodzie fabryka wyrobów bawełnianych. Przed I wojną światową zatrudniała pół tysiąca robotników. W tym jednak przypadku nazwa nie miała nic wspólnego z charakterem produkcji. Miała sugerować dłuższą od rzeczywistej historię fabryki, wyrabiać u nabywców przekonanie, że kupują towar lepszy od „fabrycznego”.

Epoka industrialna w pogoni za zyskiem i potrzebą obniżenia kosztów produkcji zaoferowała masowemu, anonimowemu nabywcy, masowy towar. W świecie wypełnionym techniką, zarzuconym przedmiotami identycznymi pod względem surowca, kształtu, wzoru i koloru, powracać zaczęła tęsknota za rzeczą jednostkową, niepowtarzalną, czy wręcz unikatową. Dostrzeżono wartość tkwiącą w szczegółach, które wyróżniają „nasz” egzemplarz od innych. Stąd już tylko krok do przekonania, że nie ma butów wygodniejszych niż szyte ręcznie, nie ma smaczniejszych pralinek niż uformowane w dłoniach cukiernika i nie ma lepiej dopasowanego garnituru niż szyty „na miarę”, choćby jego przygotowanie wymagało męki kilkunastu przymiarek. Etykiety „Manufaktured by...”, „Hand made” stały się pożądanym wyróżnikiem sposobu wykonania, utożsamianego z wysoką jakością. Manufaktura... Nazwa, która od początku XXI w. przeżywa swój renesans. Łódzkie Centrum Manufaktura, obejmujące tereny i zabudowania dawnej fabryki I. K. Poznańskiego, jest

tylko jednym z licznych przykładów wykorzystania terminu, który zapowiadać ma wyjątkowość.

W wielu gałęziach przemysłu ręczny sposób wytwarzania, czyli manufaktura, pozostał dominujący do dziś. Niech nas nie mylą dumne nazwy „huta szklana”, „huta szkła”, bo nawiązują one tylko do pieca i topienia składników masy szklanej. Część produkcji szklarskiej stanowiły wyroby formowane mechanicznie, jednak te najszlachetniejsze, często o walorach artystycznych, wymagały sprawnych rąk i pojętych płuc. Ziemia łódzka była drugim po Dolnym Śląsku regionem, w którym przemysł szklarski rozwinął się na tak dużą skalę. Odległą tradycję tej gałęzi wytwórczości potwierdzają liczne w środkowej Polsce nazwy „huta szklana” i zapiski w starych dokumentach. Największa czynna na początku XIX w. w Królestwie Polskim huta szkła zlokalizowana była w podłódzkim wówczas Żabieńcu. Warto jednak pamiętać, że obok tak znanych później hut, jak piotrkowskie „Hortensja”, „Kara” i „Feniks”, liczne były zakłady mniejsze, wyspecjalizowane w produkcji wąskiego asortymentu wyrobów. Należała do nich m. in. Łódzka Huta Szklana Geha S.A., wytwarzająca w latach międzywojennych szkło stołowe, oświetleniowe, laboratoryjne, artystyczne, czyli kształtowane ręką – manu facere – człowiekiem.

Krzysztof Woźniak



Pożegnanie Stanisława Ołasa

2 grudnia na cmentarzu parafialnym we wsi Wierzchy w powiecie poddębickim pochowano Stanisława Ołasa. W ostatniej drodze towarzyszyły mu tysiące osób. Byłego wicemarszałka województwa łódzkiego żegnali parlamentarzyści, przedstawiciele władz samorządowych, bankowcy, strażacy, policjanci, myśliwi i harcerze.

Stanisława Oła zmarł 28 listopada w wieku 75 lat. Przez 10 lat był radnym Sejmiku Województwa Łódzkiego. Pełnił

funkcję przewodniczącego sejmiku, członka zarządu województwa, a w latach 2006-2007 wicemarszałka województwa. Był posłem na Sejm VI kadencji, honorowym obywatelem powiatu poddębickiego. Kilka dni przed śmiercią komisja odznaki honorowej „Zasłużony dla województwa łódzkiego” jednogłośnie przyznała to odznaczenie Stanisławowi Ołasiowi. Miał je odebrać podczas uroczystej sesji sejmiku.

Konsul honorowy Czech w Łodzi

Przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie 11 odsłonięto tablicę Konsulatu Honorowego Republiki Czeskiej w Łodzi, po czym w Muzeum Włókiennictwa wręczono nominację konsulowi honorowemu prof. nadzw. dr. hab. Krzysztofowi Skotnickiemu. W uroczystości uczestniczyli wicemarszałek Sejmu RP Cezary Grabarczyk i marszałek województwa łódzkiego Witold Stępień.

Stronę czeską podczas uroczystości reprezentowali: Jaromír Plíšek, sekretarz generalny MSZ Republiki Czeskiej, oraz Jan Bechter, ambasador Republiki Czeskiej w Polsce.

Marszałek Stępień, składając gratulacje prof. Krzysztofowi Skotnickiemu, przypomniał związki historyczne Polski i Czech i zaznaczył, że region łódzki od lat współpracuje z południowymi Morawami, które są regionem partnerskim.

Prof. nadzw. UŁ dr hab. Krzysztof Skotnicki jest kierownikiem Centrum Studiów Wyborczych UŁ i Zakładu Prawa Konstytucyjnego Porównawczego. Od 2006 r. pracuje również na stanowisku eksperta ds. legislacji w Biurze Analiz Sejmowych Kancelarii Sejmu RP. Jest redaktorem naczelnym stworzonych przez siebie „Studiów Wyborczych” oraz członkiem kolegów redakcyjnych słowackiego czasopisma „Pravny obozor” oraz czeskiego periodyku „Časopis pro právní vědu a praxi”.

W Łodzi działają także honorowi konsulowie Austrii, Belgii, Danii, Francji, Niemiec, Węgier, Łotwy oraz Wielkiej Brytanii.

Najlepsi policjanci i strażacy

Marszałek województwa łódzkiego Witold Stępień nagrodził najlepszych policjantów i strażaków z naszego regionu. Laureatom gratulowali także insp. Dariusz Banachowicz, komendant wojewódzkiej policji w Łodzi, nadbryg. Andrzej Witkowski, łódzki komendant wojewódzki PSP, oraz druh Jan Ryś, prezes zarządu Oddziału Wojewódzkiego OSP w Łodzi. W Sali Kolumnowej

Łódzkiego Domu Kultury uhonorowani zostali m.in. najlepsi dzielnicowi, przewodnicy psów patrolowo-tropiących, najsprawniejsi strażacy i honorowi dawcy krwi. Wyróżnieni otrzymali nagrodę pieniężną w wysokości 1000 zł.

W uroczystości udział wzięli także wicemarszałek Dorota Ryl oraz członek zarządu województwa łódzkiego Marcin Bugajski.



Tradycyjna wigilia w Brukseli

W siedzibie Ambasady RP w Brukseli odbyła się tradycyjna polska wigilia. Organizatorami były Województwo Łódzkie, Województwo Podkarpackie oraz Ambasada RP w Brukseli.

Chodziło o przybliżenie zaproszonym gościom polskich tradycji i zwyczajów świątecznych. Spotkanie otworzyli ambasador Artur Harazim, marszałek województwa Podkarpackiego Mirosław Karapyta oraz przewodniczący Sejmiku Województwa Łódzkiego Marek Mazur, który złożył gościom życzenia świąteczne w imieniu mieszkańców województwa łódzkiego. Województwo Łódzkie reprezentował także członek zarządu Marcin Bugajski.

Wigilia była kolejnym elementem na drodze realizacji projektu „Łódzkie

nabiera prędkości”. Zaproszeni goście mieli okazję spróbować potraw z dziczyzny przygotowanych według tradycyjnych staropolskich receptur; grzybów, produktów staropolskich zapewnionych przez firmę „PROVINCJA”, której produkty mają coraz więcej amatorów na rynku belgijskim.

W przygotowanie wigili zaangażowane zostało także Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Dmośńskiej w Nagawkach, które pomogło w udekorowaniu ambasady tradycyjnymi ozdobami i zapewniło polskie produkty z piernika.

Przygotowane zostało także specjalne stoisko, na którym można było spróbować swoich sił w malowaniu bombek i tworzeniu ozdób choinkowych.



Barbórka w Bełchatowie

Górnicy z kopalni węgla brunatnego w Bełchatowie i Turowie świętowali Barbórkę w Bełchatowie. To tutaj odbyły się centralne uroczystości Dnia Górnika w koncercie PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna, do którego należą obie kopalnie. Zarząd województwa łódzkiego reprezentował marszałek Witold Stępień.

Uroczystości rozpoczęła msza święta w intencji górników i ich rodzin. Po mszy pracownicy kopalni w towarzystwie orkiestry górniczej przemaszewali ulicami Bełchatowa do hali widowiskowo-sportowej, gdzie odbyła się akademie barbórkowa. Podczas akademii wręczono medale za długoletnią służbę. – Powstanie bełchatowskiej kopalni przed kilkudziesięciu laty odmieniło nie tylko Bełchatów, ale i życie w okolicznych miejscowościach. Kopalnia jest jednym z najważniejszych przedsiębiorstw w naszym województwie – podkreślił marszałek Witold Stępień.

Kopalnia Bełchatów jest największą kopalnią odkrywkową w Polsce i jedną z największych w Europie. Zatrudnia ok. 6,5 tys. pracowników. W połowie 2010 roku Ministerstwo Środowiska przyznało bełchatowskiej kopalni koncesję na prowadzenie prac rozpoznawczych i badawczych satelickiego złoża węgla brunatnego „Złoczew”, gdzie w tym roku zakończono prace wiertnicze. Zasoby tego złoża szacowane są mniej więcej na 450 mln ton węgla.



„Z prac zarządu” przygotował
Wydział Informacji
i Komunikacji Społecznej

Ambasador USA u marszałka

Gościem marszałka województwa łódzkiego Witolda Stępnia był ambasador Stanów Zjednoczonych Stephen Mull. Szef amerykańskiej misji dyplomatycznej, który został powołany na to stanowisko 24 października tego roku, odwiedza polskie regiony, żeby zapoznać się ze specyfiką i funkcjonowaniem samorządów. Marszałek nawiązał do pierwszego spotkania obu polityków w Łasku przy okazji przyjazdu amerykańskich lotników. Szef samorządu województwa mówił o rozwoju przedsiębiorczości i firmach z kapitałem amerykańskim, które tutaj działają.

Stephen Mull pracował wcześniej jako sekretarz wykonawczy w Departamencie

Stanu. Przedtem zajmował stanowisko starszego doradcy podsekretarza stanu ds. politycznych Williama Burnsa i koordynował działania dyplomatyczne Stanów Zjednoczonych w Iranie. Na początku kadencji prezydenta Baracka Obamy kierował pracą Biura Podsekretarza ds. Bezpieczeństwa Międzynarodowego i Kontroli Zbrojeń do czasu przejęcia biura przez podsekretarza. Mull był także p.o. zastępcą podsekretarza stanu ds. polityczno-wojskowych, pełnił również funkcję ambasadora Stanów Zjednoczonych na Litwie. Pracował też na placówkach w Polsce, RPA i na Bahamach.



Samorząd przed sądem

Przygotował
dr Robert Adamczewski

Wysokość zabudowy a...

Rada miasta podjęła uchwałę w sprawie studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego. Studium wprowadzało m.in. na określonych terenach zakaz budowy budynków, mających więcej niż trzy-cztery kondygnacje. Zakaz ten został następnie wprowadzony do planu zagospodarowania, dla którego ustalenia studium są wiążące. Lokalny przedsiębiorca, zamierzający wybudować na tym terenie 12-kondygnacyjny budynek, złożył wniosek o dokonanie zmian w studium.

W związku z odmową dokonania takich zmian przedsiębiorca złożył skargę na wzmiankowaną uchwałę do WSA w Gdańsku, który jednak skargę oddalił. Sąd powołał się ogólnie na tzw. władztwo planistyczne gminy, wskazując, że do gminy należy prowadzenie polityki przestrzennej na swoim terenie, w związku z tym miała ona prawo takie ograniczenia wprowadzić.

Naczelny Sąd Administracyjny uchylił ten wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania przez sąd administracyjny. W orzeczeniu stwierdził, że zgodnie z art. 10 ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, w studium podaje się kierunki i wskaźniki zagospodarowania. Parametry zabudowy i gabaryty obiektów określa dopiero plan miejscowy. Wprowadzenie natomiast w studium ograniczeń dotyczących m.in. wysokości zabudowy i liczby kondygnacji narusza zasady jego sporządzania i powoduje nieważność uchwały rady gminy w całości lub w części.

Sąd I instancji rozpoznając ponownie sprawę związany wykładnią NSA, stwierdził niezgodność z prawem zaskarżonej uchwały w części odnoszącej się do nieruchomości przedsiębiorcy.

Kwestionując wyrok sądu I instancji, rada miasta domagała się oceny, czy ze względu na racjonalną gospodarkę przestrzenną możliwe jest wprowadzanie do studium tych ograniczeń w drodze wyjątku.

Rozpoznając sprawę Naczelny Sąd Administracyjny stwierdził jednoznacznie, że tego typu praktyki są

niedopuszczalne
(sygn. akt II OSK 2036/12).

Informacja publiczna

Radny wystąpił, na podstawie ustawy o dostępie do informacji publicznej, o udostępnienie informacji na temat umów zlecenia i umów o dzieło, zawieranych przez gminę, dotyczących realizacji zadań gminy. Wskazywał, że na ich podstawie z kasy miasta wypłacono ponad 24 tys. zł. Chciał dowiedzieć się, kiedy i z kim zawarto te umowy, ze wskazaniem imion i nazwisk.

W odpowiedzi na swój wniosek ostatecznie otrzymał jedynie kopie umów, ale z zamazanymi danymi kontrahentów. Argumentacja organu odmawiającego udostępnienia danych osobowych opierała się na przepisie art. 5 ust. 2 ustawy o dostępie do informacji publicznej, z którego wynika, że prawo do informacji publicznej podlega ograniczeniu ze względu na prywatność osoby fizycznej lub tajemnicę przedsiębiorcy. Ograniczenie to nie dotyczy tylko informacji o osobach pełniących funkcje publiczne, mających związek z pełnieniem tych funkcji. Podobne stanowisko zajęło Samorządowe Kolegium Odwoławcze, a następnie rozpoznający sprawę w pierwszej instancji sąd. Radny wygrał dopiero przed sądem II instancji, który nakazał miastu udostępnienie, jako informacji publicznej, żądanych imion i nazwisk kontrahentów.

Ostatecznie sprawą zajął się Sąd Najwyższy, potwierdzając stanowisko o obowiązku udostępnienia danych osobowych kontrahentów ratusza i rozstrzygając wątpliwość, czy ważniejsza jest jawność umów, czy ochrona danych osobowych. W uzasadnieniu wyroku SN stwierdził jednoznacznie, że prywatność w aspekcie ustawy o dostępie do informacji publicznej nie obejmuje imion i nazwisk osób zawierających umowy cywilnoprawne z szeroko pojętymi jednostkami samorządu terytorialnego. W przeciwnym razie – jak wskazał sąd – cała konstrukcja dostępu do informacji publicznej byłaby iluzoryczna (sygn. akt I CSK 190/12).

Liczba dzieci w oddziałach szkolnych

Wójt gminy wydał zarządzenie w sprawie liczebności oddziałów oraz założeń do opracowania arkuszy organizacyjnych szkół. W § 2 zarządzenia określił górną granicę liczby dzieci w oddziałach szkół podstawowych i gimnazjów oraz w klasach łączonych, wywodząc kompetencje do takiego działania z brzmienia art. 5 ust. 5 i ust. 7 ustawy o systemie oświaty.

Wojewoda rozstrzygnięciem nadzorczym stwierdził nieważność § 2 zarządzenia wójta. W ocenie organu, regulacja tego postanowienia zarządzenia została ustalona bez podstawy prawnej.

Rozpoznający skargę wójta Wojewódzki Sąd Administracyjny w Łodzi potwierdził stanowisko wojewody, że ustalenie górnej granicy liczby uczniów w klasach wyższych niż pierwsza nie znajduje podstaw prawnych.

W ocenie sądu, z nałożonego przez ustawodawcę na organ prowadzący szkołę obowiązku zapewnienia warunków działania szkoły lub placówki, w tym bezpiecznych i higienicznych warunków nauki, wychowania i opieki (art. 5 ust. 5 i ust. 7 ustawy), nie można wyprowadzać wniosku, że dotyczy on również uprawnienia do określenia maksymalnej liczby dzieci w oddziałach. Zdaniem sądu, mimo że wyliczenie w art. 5 ust. 7 ustawy o systemie oświaty zadań organu prowadzącego szkołę nie jest wyczerpujące, o czym świadczy zwrot „w szczególności”, to jednak wszystkie wymienione zadania i związane z nimi obowiązki dotyczą zapewnienia szkole warunków do prowadzenia nauki, tj. właściwej bazy lokalowej, wyposażenia, obsługi administracyjnej czy pomocy dydaktycznych dla uczniów. Oczywiście możliwości finansowe danej gminy i poziom realizacji zadań związanych z prowadzeniem szkoły mogą pośrednio wpływać na liczbę uczniów. Brak jednak podstaw aby uznać, że nałożonym na gminę obowiązkom odpowiada uprawnienie do administracyjnego określenia maksymalnej liczby uczniów w klasach innych niż klasy pierwsze (sygn. akt III SA/Łd 906/12).

Pegaz bez zajęcia

W betlejemskiej stajence Dziecię witały, obok aniołów i pasterzy, także bydłęta. Toteż i obok redakcyjnej choinki nie może ich zabraknąć. Zwłaszcza że troska o zwierzęta, czy choćby tylko większe nimi zainteresowanie, w okresie bożonarodzeniowym jest bardzo silnie osadzona w polskiej tradycji. Zwierzęta są w kolędach, jasełkach, a także w zwyczajach wigilijnych.

W Łodzi zwierzę trafiło nawet na dach budynku w centrum miasta. To koń.

Ze szczytu budynku przy dzisiejszej ulicy Kopernika patrzy na Łódź od dziesięcioleci. Nieco ponad wiek temu podziwiał go Julian Tuwim, wówczas jeszcze chłopak, mieszkający przy równoległej ulicy św. Andrzeja (dzisiaj: Andrzeja Struga). Po latach stare wspomnienia wplótł w „Kwiaty Polskie”:

*„Z okna mojego mieszkania
Widać było konia
Metalowego. Stał bez jeźdźca
I dawno nęcił mnie, wałkoniał,
By wskoczyć – i galopem z miejsca.
Czekał mój Pegaz bez zajęcia
Na cud, na dziw, na czar odkłęcia”*

W mieście spowitym przez dymy, skrytym w lesie kominów, mieście, którego rytm życia wyznaczały fabryczne syreny i huczące krosna, zwierzę na dachu budynku stanowiło zasadniczy dysonans. Skąd się wzięło i czemu służyło?

W połowie lat 80. XIX w. weterynarz miejski Alfred Kwaśniewski, który sprawował nadzór nad rzeźnią miejską oraz kontrolował obrót mięsem, wpadł na pomysł, aby także leczyć i podkuwać konie. Nie dołożył tego do zawodowych obowiązków, ale potraktował jako prywatne przedsięwzięcie.

Pomysł był wręcz genialny, bo w tamtym czasie transport na krótszych dystansach opierał się na sile pociągowej koni. Po mieście kursowały dorożki i konne omnibusy. Na furmankach spoczywało zaopatrzenie sklepów i targowisk, one dowoziły fabrykom produkty i wywoziły gotowe wyroby. Konie wykorzystywały wojsko, policja i straż pożarna. Dlatego interes rokował jak najlepiej, a brak klientów mu nie groził.

Kwaśniewski do swojego pomysłu skaptował Niemca, Hugo Warrikoffa, legitymującego się tytułem magisterskim, absolwenta Instytutu Weterynaryjnego w Dorpacie. Wspólnie nabyli działkę przy „szosie Milscha” (w spolszczonej

wersji także Milsza), prowadzącej od Wólczańskiej do browaru, wybudowanego przez Teodora Milscha pod nr. 53.

Najpierw wspólnicy wzniesli na niej parterowy budynek frontowy, zaprojektowany przez Piotra Brukalskiego w stylu neorenesansowym, z sześcioma płaskimi pilastrami, między którymi znalazły się arkadowo zamknięte okna w obramowaniach, z attyką na szczycie. Otworzyli w nim „lecznicę dla zwierząt domowych i wzorową kuźnię angielską”, bo poza pomieszczeniami biurowymi i laboratorium była także kuźnia, gdzie podkuwano konie (przetrwiała do 1948 r.).

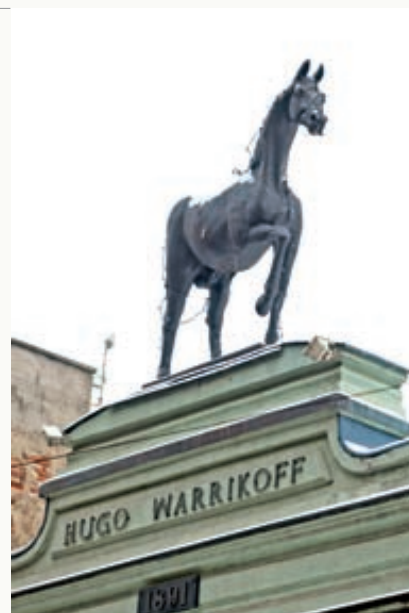
Jeszcze w latach 90. XIX w. powstały dwie oficyny mieszkalne oraz wieża ciśnieni i stajnia. To była pierwsza lecznica dla zwierząt na ziemiach polskich.

Na tym wspólnicy nie poprzestali i rychło uruchomili tu również szpital dla zwierząt. W 1902 r. w wyposażeniu kliniki znalazł się specjalistyczny sprzęt do podnoszenia i transportowania chorych koni (wcześniej zwierzęta chore czy ze złamaną nogą zabijano), co stawało łódzką placówką w gronie najlepszych europejskich klinik weterynaryjnych.

Klinika funkcjonowała latami, a po założycielach prowadzili ją potomkowie. W czasie okupacji hitlerowskiej Kwaśniewscy zmuszeni byli wycofać się z jej prowadzenia i oddać w całości przeszła na własność rodziny Warrikoffów. W tamtym tragicznym czasie spełniła też dodatkową funkcję – zatrudnionych w niej Polaków uchroniła przed wywózką do Niemiec.

Upaństwowiona po wojnie, obecnie znów należy do potomków Hugo Warrikoffa. I jak przed laty udzielana jest tu pomoc chorym zwierzętom.

A koń? Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł, aby naturalnej wielkości, wykonane z metalu zwierzę stanęło na dachu budynku. Jedną z hipotez zakłada, że koń na dachu lecznicy przy Kopernika miał być wzorowany na podobnym rumaku, zdobiącym Rygę. To trop dość



prawdopodobny, bo w Rydze przez czas jakiś mieszkał Hugo Warrikoff. Do dziś stoi tam koń bliźniaczko podobny do łódzkiego.

Jest i inna hipoteza. Właściciele lecznicy (obu lub jednego z nich) zauroczył widziany w Hadze posąg konia i pod wpływem tego impulsu mieli umieścić podobny na dachu swojej lecznicy. W każdym razie już na początku XX w. rumak patrzył na Łódź z wysokości dachu budynku. Z całą pewnością też służył nie tylko ku ozdobie, ale też stanowił oryginalną reklamę firmy. Ba, był także istotnym znakiem topograficznym, dzięki któremu dotarcie do lecznicy było łatwiejsze.

Liczący dzisiaj ponad 100 lat koń, którego w 1955 r. władze miejskie uznały za zabytek, tylko na krótko opuścił swój posterunek. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku został poddany gruntownej renowacji pod kierunkiem inżyniera Janusza Podleśnego, ale od 1996 r. ponownie z poziomu piętra wstrząsa grzywą i macha ogonem. A w noc wigilijną, jak wszystkie zwierzęta, mówi ludzkim głosem.

Ciekawe, o czym tym razem opowie?

Jan Skąpski

Legenda o stworzeniu świata

Podanie o stworzeniu świata stanowi fundament każdego systemu religijnego. Opowiada zawsze kto, w jakich okolicznościach i w jaki sposób doprowadził do powstania świata. Dawni Słowianie, wyznający wielobóstwo, zamieszkujący ponad tysiąc lat temu tereny dzisiejszej Polski, nie przekazali nam jednak bezpośrednio nic na temat tego wydarzenia.

Uczeni zrekonstruowali słowiańską legendę o powstaniu świata. Występuje ona dziś w kilku wariantach na terenie Bułgarii, Ukrainy i wschodniej Polski, w zależności od plemienia słowiańskiego i obszaru przez niego zamieszkiwanego. Bohaterami są słowiańscy bogowie: Świętowit (zwany niekiedy Światowidem), bóg słońca ognia i wojny, Swaróg, również bóg słońca oraz błyskawicy, nieba i ziemi, a także Weles, władca świata zmarłych, zwanego Nawia. A oto wariant dawnej słowiańskiej legendy, który przypomina nieco starotestamentową opowieść z Księgi Rodzaju o Kainie i jego bracie Ablu.

Na początku wszechrzeczy nie było prawie nic. Aż po horyzont widać było tylko bezkresne morze i jasne, światłe niebo. Z bogów słowiańskich istniał tylko wówczas Świętowit. Krążył on pod postacią łabędzia po tej nieskończonej przestrzeni niebiańsko-wodnej. Po upływie długiego, acz nieokreślonego czasu, bóstwu podróżującemu wciąż nad wodą zaczęła doskwierać samotność. Dlatego gdy tylko dostrzegł swój cień odbity w wodzie, rozpoczął oddzielanie cienia i ciała z cieniem związanego.

W ten sposób powstał bogowie: Swaróg (w niektórych wariantach mitu występuje Perun, najwyższe bóstwo ogólnosłowiańskie, bóg wojny, siły i męstwa, a także władca gromu, grzmotu i błyskawicy) oraz jego brat Weles.

Po swym dość dziwnym narodzeniu bóg Swaróg upłócił ze światła łódź, w której osiedlił się i pływał nią po morskich falach, a jego brat Weles zanurkował w ciemne podmorskie głębiny i tam spędzał czas. Dość niedługo taki stan rzeczy się jednak utrzymał, bo obu bogom znudziła się monotonia morska i postanowili stworzyć stały ląd. Swaróg namówił więc Welesa, aby ten zanurkował na dno wodnej otchłani i przyniósł stamtąd garść piasku. Po zebraniu piasku zobowiązał

go do wypowiedzenia magicznych słów, dotyczących ich współpracy przy budowie stałego lądu. Miały one brzmieć: „Z mocą Swaroga i moją”. Bóg Weles zanurkował dwa razy w morskie głębiny, aby uchwycić garść piasku w dłoń i przynieść go bratu Swarogowi. Podczas tych prób nie zdołał niestety osiągnąć morskiego dna. Dopiero za trzecim razem Weles osiągnął cel i chwycił piasek. Lecz czy to przez roztargnienie, czy też zawiść, jaką czuł do brata, wyrzekł jedynie słowa: „Z moją mocą” i postanowił stworzyć stały ląd tylko dla siebie. W związku z tym postanowieniem ukrył kilka ziarenek piasku w ustach. Gdy już się wynurzył z podmorskich otchłani, wyciągnął ku Swarogowi otwartą dłoń. Swaróg wziął z niej parę ziarenek piasku i rzucił przed siebie. Piasek ów po zetknięciu z wodą zmieniał się w ląd i zaczął się rozrastać. Rozrastały się również ziarenka piasku, schowane w ustach Welesa, który wypłuł je, a tam gdzie splunął powstawały górskie wzniesienia. Wyspa stworzona w ten sposób przez bogów była jednak niewielka. Bracia ledwo się na niej mieścili.

Dlatego też zawiśnięty i samolubny Weles ukuł plan zapanowania nad nią. I kiedy zmęczony trudami dnia Swaróg zasnął, Weles z zamiarem utopienia go podniósł śpiącego i zaczął nieść ku morskemu brzegowi. Gdy szedł do brzegu, ziemia odsuwała się coraz dalej w morze, a wyspa osiągała coraz większe rozmiary, w miarę jak zdesperowany Weles starał się pozbyć swego brata. W końcu zrozpaczony i wyczerpany wysiłkiem musiał zrezygnować ze swych zamiarów. Po przebudzeniu Swaróg spostrzegł, że ląd jest większy niż był przed jego zaśnięciem. A wówczas Weles poinformował go, że ziemia nadal się powiększa.

Na początku bracia byli bardzo zadowoleni. Lecz w miarę upływu czasu

Swaróg zaczął obawiać się, że wraz z powiększaniem się lądu niebo stanie się za małe, aby przykryć ląd. Obawami podzielił się z bratem, który zdawał się tym nie przejmować. Wówczas Swaróg zaczął podejrzewać, że Weles coś przed nim ukrywa. Stworzył więc pszczołę, którą posłał na przeszpiegi. Pszczołka usiadła niezauważona na ramieniu Welesa i obserwowała jego poczynania. Weles natomiast stworzył z fal morskich kozła, z którym rozpoczął rozmowę. Opowiedział mu o głupim bogu Swarogu, swym bracie, niepotrafiącym powstrzymać rozrastającego się lądu. Powiedział kozłowi także, że wystarczy kijem wyznaczyć strony świata, aby ląd przestał się rozrastać.

Pszczoła dokładnie powtórzyła mocodawcy to, co widziała i słyszała. Wówczas Swaróg stworzył ze światła kij i zrobił tak, jak mówił kozłowi Weles. A świat przestał się rozrastać i pozostał takim, jakim go znamy dziś.

Po rozwiązaniu problemu rozrastającego się lądu bogowie rozpoczęli wyklócanie się o panowanie nad niebiosami. Ale tego już dłużej nie mógł ścierpieć bóg Świętowit. Wezwał braci i podzielił pomiędzy nich władzę. Wedle jego woli Swaróg został bogiem ziemi i ognistego słońca, a Weles władać miał odtąd Nawia – krainą zmarłych, dokąd wędrowały po śmierci słowiańskie dusze. I tyle legenda.

Od zarania istnienia ludzkości człowiek starał się zgłębić, w jaki sposób powstał otaczający go świat. Dowiedzieć się, jaki jest sens życia ludzkiego. Dawniej wypowiadały się o tym różne koncepcje religijne (w tym politeistyczne dawnych Słowian). Dziś czyni to i nauka, tworząc różne hipotezy. Miną jednak kolejne tysiąclecia, a na pytania te nie poznamy odpowiedzi.

Igor W. Górski

Czy lutomierscy wojownicy byli wikingami?

Jednym z najbardziej zagadkowych obiektów archeologicznych na ziemi łódzkiej jest wykopalisko dużej nekropolii wojów piastowskich w Lutomiersku pod Łodzią. To wyjątkowe znalezisko datowane jest na przełom X i XI wieku, czyli okres krzepnięcia polskiej państwowości i panowania pierwszych Piastów.

Po raz pierwszy kilkadziesiąt grobów odkryto tutaj w czasach II wojny światowej przy niwelacji żydowskiego cmentarza, zniszczonego przez hitlerowców w roku 1940. W następnym roku niemieccy archeolodzy przeprowadzili wstępne badania rozpoznawcze, ale nie potwierdzili ani nie zaprzeczyli wikińskiemu pochodzeniu pochowanych tu ludzi. Prawdopodobnie z przyczyn ideologicznych, nie wykazawszy jednoznacznie „germańskości” lutomierskich znalezisk, zaprzestano dalszych prac wykopaliskowych.

W roku 1949 tutejsze stanowisko archeologiczne włączono do programu badań naukowych nad początkami państwa polskiego i ostatecznie w wyniku kompleksowych badań odsłonięto 133 groby męskie i żeńskie. Były bogato wyposażone w broń, sprzęty oraz dary pośmiertne. W grobach męskich złożono głównie miecze, groty włóczni i strzał, topory, czekany oraz końską uprząż. Ciekawostką jest okute zdobioną blachą wiaderko do pojenia koni. Pochówki żeńskie miały głównie drobną biżuterię. Wszystkie te zabytki mają charakter dojrzałej sztuki wikińskiej rodem ze środkowej Skandynawii i dlatego do dziś budzą emocje zarówno wśród naukowców, jak i lokalnych entuzjastów historii. Oryginalne eksponaty można dziś obejrzeć w łódzkim Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym.

Wczesnośredniowieczne cmentarzysko w Lutomiersku, na które składały się głównie pochówki wyposażone w militaria, świadczy o wojskowym charakterze osady i tajemniczych mieszkańcach, żyjących w czasach wczesnopiastowskich. Pochowani tutaj wojowie stanowili bez wątpienia lokalną piastowską drużynę książęcą, kontrolującą na terenach nad Nerem w imieniu Mieszka I lub Bolesława

Chrobrego zasięg ich władzy. Lutomiersk stanowił bowiem strategiczny węzeł drogowy, gdzie krzyżowały się drogi lądowe i szlak wodny na rzece Ner, płynącej w kierunku Warty. Tutejsza wioska posiadała więc charakter osady tranzytowej i była zapewne miejscem poboru drogowych ceł, jak też punktem obronnym i wypadowym najemnych drużynników, którzy kontrolowali trakty handlowe i zbierali w imieniu piastowskich książąt daniny z podległych wsi służebnych. Wśród kilku powojennych hipotez uznano bowiem aż trzy wersje ich pochodzenia. Pierwsza, reprezentowana przez prof. K. Jażdżewskiego, sugerowała, że zostali tu pochowani drużynnicy kijowskiego księcia Świętopełka, który po wyprawie Bolesława Chrobrego na Kijów wraz z jego siostrą przybył jako uciekinier na ziemię piastowskie. Druga wersja, reprezentowana przez lokalnych miłośników historii, wskazuje, iż mogli to być ruscy Waregowie, zaciężni wojownicy pochodzenia wikińskiego, którzy od IX wieku kolonizowali ogromne obszary Rusi Nowogrodzkiej, Halickiej i Kijowskiej. Najnowsze badania i analizy archeologiczne i historyczne skłaniają jednak ku teorii, iż mogli to być jednak wikingowie, pochodzący bezpośrednio ze Skandynawii, którzy jako zaciężni wojownicy na dworze pierwszych Piastów sprawowali w naszym regionie władzę w ich imieniu. Jako ich ojczyznę wskazuje się między innymi środkową Szwecję ze słynnym portem w Birce, który przez setki lat stanowił jedną z głównych wikińskich baz wypadowych w akwenie Bałtyku i na Ruś, ale także do wczesnopiastowskiej Polski. Jako dodatkowy językoznawczy trop, potwierdzający teorię o skandynawskim pochodzeniu lutomierskich drużynników, może być nazwa Lutomiersk, posiadająca źródłosłów właśnie w językach nordyckich.



Rodzaj stelli wznoszonej umarłym przez wikingów w grobowych kręgach kamiennych (czarny kamień)

Popuszczając wodze fantazji, można więc przyjąć, że za panowania Bolesława Chrobrego jego siostra Świętosława, zwana w Skandynawii Sygrydą, która była na początku XI wieku żoną szwedzkiego króla Eryka Zwycięskiego, a później króla duńskiego Swena Widłobrodego, wysłała ze Skandynawii do królestwa swego brata kilka wikińskich drużyn, a jeden z tych najemnych oddziałów dotarł właśnie w okolice obecnej Łodzi, gdzie się osiedlił i wykonywał rozkazy naszego pierwszego koronowanego króla. Być może będzie to współczesna legenda założycielska prastarego przecież Lutomierska. Ludzie lubią przecież romantyczne legendy...

Oprac. Grzegorz B. Bednarek

Tyle słońca w całym mieście...

Rzecz o działalności Kółka Miłośników Feba

Znawcom historii polskiego sportu nie trzeba przedstawiać Władysława Pytlańskiego. Oprócz pracy przy spawaniu wieży Eiffla we wczesnej młodości, zdobycia tytułów mistrzowskich w zapasach, występu w filmie „Bartek zwycięzca”, czy też aktywnej działalności na rzecz popularyzowania sportu wśród młodzieży szkolnej, dodać należy pewien drobny epizod



Mieszkańcy w naszym mieście od 1913 roku zapaśnik próbował zachęcić łódzian do jeszcze jednej formy aktywności – poddawania się kąpielom słonecznym. To właśnie z jego inicjatywy powstało w naszym mieście Kółko Miłośników Feba, którego nazwa nawiązywała do Apollina-Feba, greckiego patrona światła.

Początek działalności tej grupy przypadł na ciężkie i pozbawienie słońca czasy I wojny światowej. Nad miastem i jego mieszkańcami zawisły nie tylko chmury, ale i dramaty dnia codziennego. Łódzianie borykający się na co dzień z niespotykaną dotąd biedą nie mieli częstej sposobności, aby korzystać z wypoczynku na świeżym powietrzu. Łódzcy lekarze podkreślali, że na złą kondycję łódzian wpływał m.in. brak stosownych miejsc do wypoczynku na łonie natury. Apelowano do urbanistów o zakładanie nowych parków i ogrodów, zwłaszcza w dzielnicach robotniczych. Choć na łamach prasy dość często gościły reklamy znanych kurortów, realia czasów wojny nie pozwalały na dalekie wyjazdy „do wód”. Jedynymi enklawami natury były więc parki i lasy miejskie, których żywot czasie wojny był jednak poważnie zagrożony. Oprócz legalnej wycinki, prowadzonej przez władze miejskie, miejscowy drzewostan był rozgrabiany przez ludność, poszukującą drewna na opał.

Wróćmy jednak do wspomnianej grupy „słonecznych zapaleńców” i ich zwierzchnika. Władysław Pytlański gorąco popierał zarówno ruch na świeżym powietrzu, jak i oddawanie się kąpielom słonecznym. Aby te ostatnie mogły być dostępne dla zainteresowanych w kulturalnych warunkach i były w stanie odnosić odpowiednie skutki, sportowiec starał się wyjednać u władz miasta pozwolenie na wydzierżawienie części parku. Za najbardziej odpowiedni Pytlański uznał park przy ówczesnej ul. Pańskiej (dzisiejszy park im. ks. Poniałowskiego przy ul. Żeromskiego). W liście z kwietnia 1916 roku, kierowanym do Wydziału Zdrowotności Publicznej Magistratu miasta Łodzi, Pytlański prosił o wydzierżawienie po przystępnej cenie pół morgi mniej zastrzeżonej części obiektu. Jednocześnie argumentował, że łódzian nie stać na dalekie wojaże w celu podreperowania zdrowia. Nie bez znaczenia było też zapewnienie, że kąpiele powietrzno-słoneczne miałyby się odbywać pod „światłym okiem lekarskim”. Starania te nie przyniosły jednak oczekiwanych rezultatów, władze miasta nie poparły inicjatywy. Nie zniechęciło to jednak zwolenników promieni słonecznych do korzystania z uroków słońca. Na łamach „Nowego Kuriera Łódzkiego” z sierpnia 1916 roku znajdujemy krótki opis poczyną tej grupy na terenie posesji przy

ówczesnej ul. Mikołajewskiej 40 (dziś ul. Sienkiewicza), usytuowanej skądinąd w sąsiedztwie innego łódzkiego parku:

„(...) Obecnie, choć dość późno, korzystając jednak z resztek sierpniowego słońca, garstka łódzian zrzeszyła się, tworząc kółko miłośników Feba i zorganizowała kąpiele słoneczne, zbierając się w popołudniowych godzinach na placu znanego w świetle sportowym prof. p. Władysława Pytlańskiego przy ul. Mikołajewskiej 40”.

O skuteczności opisywanych zabiegów i dalszych losach grupy wiadomo niewiele. Nieliczne wzmianki w łódzkiej prasie są dowodem, że funkcjonowało jeszcze latem 1918 roku. Z pewnością osoby biorące w udział w zbiorowym zażywaniu promieni słonecznych budziły pewne kontrowersje. Opiekujący się grupą Pytlański musiał tłumaczyć się m.in. z rzekomego obrzucenia kamieniami osób spacerujących po parku Mikołajewskim przez sympatyków promieni słonecznych. Zapewniał wtedy na łamach „Godziny Polski” o wysokiej moralności współtowarzyszy.

Dziś, podobnie jak przed laty, kolejne pokolenia miłośników słońca zażywają kąpiele słoneczne. Częściej jednak wybierają lampy w salonach piękności niż kontakt z naturalnymi promieniami na łonie zdewastowanej, równie silnie jak przed laty, łódzkiej natury...

Aneta Stawiszyńska

Śladami hrabiny d'Ornano

Wszystkim, którzy kochają historię i spacerować po pięknej ziemi powiatu łowickiego, polecamy Kiernozię i Walewice. Obie miejscowości łączy postać hrabiny d'Ornano, czyli Marii Walewskiej, która przeszła do historii jako „polska żona Napoleona”.

W Kiernozi znajduje się pałac wraz z otaczającym go przepięknym parkiem. Niektóre publikacje podają, że tu urodziła się Maria Walewska. Część historyków twierdzi, że to nieprawda. W miejscu tym spędziła tylko swoją młodość do ukończenia 17 roku życia, a urodziła się w miejscowości Brodne nieopodal Kiernozi 7 grudnia 1786 r.

Historycy nie są również zgodni co do dokładnej daty powstania obiektu, który możemy podziwiać. Niektóre źródła podają, że pałac we współcześnie znanym kształcie wybudowali rodzice Marii, Ewa z domu Zaborowska i Mateusz Łączyński herbu Nałęcz, pod koniec XVIII w. Możliwe też, że pałac zbudowano dopiero po śmierci Marii.

Oprócz Marii, z rodziny Łączyńskich do historii przeszli jej bracia Benedykt i Teodor, generałowie wojsk napoleońskich, a także ojciec, uczestnik insurekcji kościuszkowskiej. Maria odebrała bardzo staranne wykształcenie, godne jej szlacheckiego pochodzenia. Muzyki i języka francuskiego uczył ją Mikołaj, ojciec Fryderyka Chopina, mieszkający w Czerniewie koło Kiernozi.

Maria często spacerowała po przypałacowym parku, więc kto chce podążać jej śladami, musi koniecznie zwiedzić ów obiekt. W kilkuhektarowym parku, otaczającym jednopiętrową, klasycystyczną, białą bryłę pałacu o czterosпадowym dachu, znajdują się: kilka połączonych ze sobą stawów, kopiec Tadeusza Kościuszki (który odwiedzał Kiernozię) oraz kamienny głaz, pomnik z tablicą, ufundowaną w 300. rocznicę odsieczy wiedeńskiej.

W walewickim pałacu Maria zamieszkała tuż po ślubie z 70-letnim szambelanem królewskim Anastazym Walewskim, właścicielem dóbr wokół Łowicza. Do ślubu została zmuszona przez swojego brata i matkę, którzy zapewne chcieli w ten sposób uniknąć skandalu obyczajowego. 18-letnia Maria była bowiem w momencie zaślubin ciężarna.

Małżeństwo to nie było szczęśliwe, zważywszy na różnicę wieku małżonków i okoliczności zawarcia związku. Szambelan uznał ojcostwo zrodzonego

w tym związku syna Antoniego Bazylego Rudolfa. Małżeństwo zakończył formalny rozwód przed warszawskim sądem w 1812 r.

Pałac walewicki wzniesiony został pod koniec XVIII w. na planie prostokąta w stylu klasycystycznym. Podobnie jak pałac kiernoski, otoczony jest kompleksem parkowym. Od strony wejścia do parku znajduje się rozległy taras ze schodami, u stóp których płynie rzeka Mroga. Kilkunastohektarowy park krajobrazowy w stylu angielskim powstał pod koniec XIX w. Poza rzeką i okazami przyrody, atrakcją parku są też barokowe i klasycystyczne rzeźby oraz stawy rybne.

Nieopodal walewickiego pałacu, na terenie stadniny koni, odbywają się co roku w rocznicę bitwy nad Bzurą uroczystości okolicznościowe. Pod obeliskiem ku czci żołnierzy września gromadzą się przedstawiciele władz lokalnych i regionalnych, uczniowie miejscowych szkół, przedstawiciele straży pożarnej, okoliczna ludność. Po przemówieniach delegacje składają kwiaty pod pomnikiem 17 Pułku Ułanów Wielkopolskich, odprowadzając polową mszę świętą, po niej zaś następuje program artystyczny i pokazy historycznej grupy rekonstrukcyjnej.

Burzliwe były koleje życia zmarłej w wieku 31 lat Marii. W 1807 r. w Warszawie poznała Napoleona Bonaparte, z którym nawiązała burzliwy romans. Z cesarzem miała syna Aleksandra Floriana Józefa. Z Napoleonem spotykała się kilkakrotnie, m.in. w Prusach, Austrii i Francji, odwiedziła go też podczas wygnania na Elbie. Stopniowo spotkania stawały się coraz rzadsze. Po 1810 r. Maria zamieszkała na stałe w Paryżu, a kraj odwiedzała rzadko.

Burzliwy i romantyczny romans między Marią i Napoleonem stał się natchnieniem dla wielu pisarzy i reżyserów filmowych. Jego przebieg badali i opisywali także historycy.

W kwietniu 1816 r. Maria wzięła w Brukseli ślub z hrabią Filipem Ornano i zamieszkała w Belgii. Z tego związku urodził się jej trzeci syn Rudolf August Ornano. Rok później zachorowała



Portret Marii Walewskiej w krypcie rodziny Łączyńskich w kościele św. Małgorzaty w Kiernozi



Kamień pamiątkowy ufundowany w 300. rocznicę odsieczy wiedeńskiej w parku w Kiernozi

i zmarła 11 grudnia 1817 r. Przed śmiercią zdążyła po raz ostatni odwiedzić Kiernozię.

Pochowano ją na paryskim cmentarzu Pere-Lachaise, jednak na prośbę rodziny w 1818 r. ciało sprowadzono do Kiernozi. Przy kościele św. Małgorzaty dobudowano specjalną kryptę, w której Maria spoczywa. W paryskim grobie pozostawiono tylko jej serce.

Ewa i Bogumił Liszewscy

Akademia Widawska

Co może łączyć tak sławne miasta, jak Gniezno, Lwów, Poznań, Warszawę, Tarnów czy Bochnię z niewielką Widawą, leżącą 60 km na południowy zachód od Łodzi? Wydaje się, że nic. Jest jednak coś, co łączy te „starożytne” miasta. To istnienie kolonii akademickiej.

Widawa obecnie jest wsią gminną, zamieszkaną przez ok. 1300 mieszkańców, lecz ma bogatą, jakkolwiek niezbadaną dokładnie, przeszłość. Widomo, że pierwsza wzmianka źródłowa pojawiła się w 1370 r. 18 lat później na prośbę braci: Mikołaja, Piotra, Jakuba i Michała Widawskich herbu Awdaniec król Władysław Jagiełło nadał osadzie prawa miejskie. Władca zezwalał także na odbywanie cotygodniowych targów w sobotę.

Początki szkolnictwa widawskiego giną w mrokach dziejów. Wiadomo natomiast, że w 1410 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim zapisał się pierwszy widawianin, Albertus Betheramonis de Widawa. 10 lat później krakowskim żakiem został Piotr, syn Marcina z Widawy, który w 1427 r. jako pierwszy mieszkaniec miasta nad Niecieczą otrzymał tytuł naukowy bakałarza. Czy na początku XV w. istniała w Widawie szkoła elementarna przy miejscowym kościele pw. św. Marcina, nie wiadomo. Według ks. Henryka Rybusa, który oparł się na danych z kroniki parafialnej, taka instytucja powstała dopiero w 1504 r.

Nie wiadomo także, kiedy w Widawie powstała kolonia akademicka. Kolonie w dzisiejszej nomenklaturze odpowiadają szkołom średnim. Tworzone były w przedrozbiorowej

Polsce przez Uniwersytet Jagielloński i Akademię Zamoyską. Nie sposób ustalić dokładnej daty, bo w wypadku kolonii widawskiej nie było jakiegoś konkretnego aktu, świadczącego o powiązaniu z krakowską Alma Mater.

Wśród najwybitniejszych uczniów na szczególną uwagę zasługuje Walenty z Widawy, który zrobił największą karierę akademicką spośród uczniów widawskiej kolonii. Urodzony w 1537 r., w semestrze letnim 1562 r. zapisał się na UJ. Wkrótce po ukończeniu studiów związał się z macierzystą uczelnią i poświęcił jej resztę życia, zagłębiając tajniki filologii i teologii. W 1574 r. pełnił funkcję dziekana Wydziału Filozoficznego UJ. Społeczność akademicka dwukrotnie obdarzyła go godnością rektora, którą pełnił w latach 1595-1596 i 1600-1601.

Umarł 12 XI 1601 r. W testamentie poczynił zapisy dla Widawy, a akademii przekazał cały swój bogaty księgozbiór. Śladem, który przypomina widawianom Walentego jest przekazana przez niego parafia w Widawie miedziana chrzcielnica w stylu późnorenansowym. Widawianie uhonorowali Walentego, nadając miejscowej szkole podstawowej jego imię.

Szkoła, oprócz Walentego Widawczyka, miała innych sławnych wychowanków. Choćby Jana Węzyka

herbu Wąż, pochodzącego z niedalekiej Woli Węzykowej, arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski w latach 1627-1638, pełniącego po śmierci króla Zygmunta III Wazy funkcję interrexa. Wśród pobierających naukę w Widawie można wymienić Macieja Pstrokońskiego herbu Budzisz, kanclerza wielkiego koronnego w latach 1606-1609 oraz biskupa przemyskiego, a potem wrocławskiego. Wspomnieć należy także o poecie Piotrze Węzyku Widawskim, który tworzył w drugiej połowie XVI w. Był on także posem ziemi sieradzkiej na Sejm Lubelski 1569 r. Wśród mniej znanych wychowanków są członkowie najznakomitszych rodów dawnego województwa sieradzkiego: Walewskich, Pstrokońskich, Burzyńskich, Taczanowskich i Węzyków.

W działalności Akademii Widawskiej były i dobre, i złe okresy. Problem stanowiły kłopoty finansowe. W tej kwestii pomógł Maciej Węzyk Widawski, który w 1635 r. zabezpieczył finansowo placówkę, zapisując akademii 7000 zł, ulokowanych na 8 proc. na dobrach Żuchowice i Gorzkowiczki. Zapis ten dawał placówce rocznie 560 zł dochodu. Koń kosztował wtedy w Krakowie ok. 77 zł, a para butów ok. 55 groszy (1 zł = 30 gr). W 1711 r. sejmik sieradzki przekazał 300 zł na remont budynku.

Ostateczny kres akademii, a właściwie szkoły parafialnej, przyniósł w 1802 r. wielki pożar, który strawił znaczną część Widawy wraz z budynkiem szkolnym oraz biblioteką. Materialnymi śladami pozostały jedynie zachowany druczek z podpisami uczniów akademii pt. Academia Widawska Jego Mość P. Macieja Węzyka Widawskiego, na Widawie, Przecznicach, etc. Dziedzica Patrona swego Wielce Mściwego z 1635 r. oraz na miejscowym cmentarzu nagrobek rektora widawskiej akademii dr. filozofii Michała Płaczkowskiego, zm. w 1769 r.

Największy ślad akademii pozostawiła jednak w umysłach widawian, którzy są dumni z przesławnych dziejów Akademii Widawskiej, wpisującej się w bogatą przeszłość miasta.



Grób Michała Płaczkowskiego, rektora Akademii Widawskiej, pochowanego w Widawie

Michał Michalski



Filmowy dwór

Kolejnym XIX-wiecznym dobrze prosperującym majątkiem ziemskim na terenie naszego regionu były Łęki Kościelne. Jak podaje lustracja z 1885 roku, dobra te tworzyło aż 1858 mórg, czyli blisko 1055 hektarów ziemi, dwór, zabudowania folwarczne, liczne sprzęty gospodarskie oraz 24 konie i stado krów rasowych, z których Łęki były znane w regionie.

Dobre gospodarowanie było efektem pracy kilku pokoleń właścicieli wsi. Jedną z wyróżniających się rodzin ziemiańskich byli Czarnowscy. Aleksander, gospodarujący majątkiem od 1872 roku, zasłynął jako wzorowy rolnik i hodowca bydła rasowego. Stado krów wykorzystywano do pozyskiwania mleka, z którego pierwotnie produkowano łęckie sery, sprzedawane na całym powiecie. Miejscowa mleczarnia została założona we współpracy z okolicznymi chłopami. Aleksander był także publicystą. Znany jest jako autor „Wychowania publicznego na podstawach ekonomii politycznej”, pozycji wydanej drukiem w Warszawie w 1874 roku. Po śmierci Aleksandra w 1902 roku gospodarstwo przejął brat Józef. Za jego rządów nastąpił dalszy rozwój rodzinnych włości. Po 1903 roku zmieniono nieco profil wytwórczy. Zaniechano produkcji serów, a uzyskiwane od krów mleko transportowano do nowoczesnego odbiorcy, jakim była mleczarnia Warszawskiego Ziemiańskiego Towarzystwa Mleczarskiego. Józef Czarnowski wprowadził innowacyjne metody zarządzania stadem.

Polegały one między innymi na racjonalnym doborze osobników stada (nowe krowy sprowadzano nawet z Holandii), odpowiednim żywieniu i pielęgnowaniu zwierząt. Na początku XX stulecia zaczęto rejestrować i oceniać wartość użytkową hodowli oraz koszty produkcji, stosując zachodnioeuropejskie doniesienia ekonomiczne. Czarnowski wraz z rolnikami założył także kółko rolnicze „Wiara”, na rzecz którego przekazał nieodpłatnie grunt. Popierał akcje oświatowe i charytatywne. Wspomniane kółko rolnicze organizowało cyklicznie trzy- lub czterodniowe kursy gospodarstwa wiejskiego, co wpłynęło na sposób gospodarowania ziemią przez okolicznych chłopów. Wykłady dla zrzeszonych prowadzili specjaliści ze Szkoły Gospodarczej w Mirosławicach oraz z Koła Ziemianek. Czarnowscy planowali także uruchomić młyn spółdzielczy, skup jaj i sklep dla rolników, ale realizację tych planów pokrzyżował kryzys ekonomiczny lat 20. XX stulecia.

Do naszych czasów po łęckich gospodarzach pozostała wspaniała siedziba, wzniesiona w rozległym parku krajobrazowym na wyspie otoczonej fosą.

Dwór ten jest przykładem drewnianej siedziby ziemiańskiej II połowy XVIII wieku. To budowla drewniana, siedmioosiowa, z usytuowanymi na osi malowniczymi gankami, wspartymi na czterech słupach każdy. Dwór nakryty jest dachem łamanym polskim ze świetlikami.

Warto wspomnieć, że malownicza wiejska sceneria oraz unikatowość architektoniczna obiektu zostały dostrzeżone przez filmowców. Dwór i park stały się planem serialu Jana Rybkowskiego pt. „Rodzina Połanieckich”, będącego ekranizacją powieści Henryka Sienkiewicza o tym samym tytule.

Będąc w Łękach, można udać się także do miejscowego kościoła z 1775 r. pw. św. Marii Magdaleny. Świątynia stanowi przykład drewnianej architektury barokowej z cennym XVIII-wiecznym wyposażeniem. Uwagę odwiedzających przyciąga współczesna polichromia o charakterze ludowym.

Łęki Kościelne są jedną z tych miejscowości powiatu kutnowskiego, które na pewno należy odwiedzić podczas podróży szlakiem dworów ziemi łódzkiej.

tekst i fot. Piotr Machlański

Pod górkę na igrzyska

Rok olimpijski to czas mobilizacji, prezentacja wszystkiego, co ma się w sporcie najlepsze. Niestety, w naszym regionie mijający rok nie był znaczący sukcesami. Nadszedł czas stagnacji.

Najbardziej spektakularny jest odwrót w grach zespołowych. W piłce nożnej ŁKS spadł z ekstraklasy i dryfuje w pierwszej lidze, zanurzając się coraz głębiej. PGE GKS Bełchatów jeszcze niedawno rozpychał się lokietami w czubie tabeli. Widzew zaczął znakomicie, jakby wbrew trudnej sytuacji ekonomicznej zamierzał rządzić polską ekstraklasą. Szybko wrócił jednak do szeregu średniaków i chwala, że zbierał tyle punktów, aby uniknąć kłopotów.

Łódzkie miało mieć po raz pierwszy aż trzy drużyny w ekstraklasie koszykarek (ŁKS, Widzew, PTK Pabianice) i zespół w elicie koszykarzy (ŁKS). Domek z kart trzymał się jednak krótko. W ŁKS oba zespoły rozpadły się. Koszykarki grają w drugiej lidze, a więc na poziomie uczniowsko-amatorskim, a w sekcji koszykarzy szkoli się młodzież. PTK jest bez zwycięstwa i tak chyba skończy sezon, jeśli nie wycofa się wcześniej. Miasto przestało pomagać czterokrotnemu mistrzowi Polski, drużynie, która nadała Pabianicom sportową tożsamość, a to dorobek ważniejszy niż medale. Zespół działa w kuriozalnych warunkach, bo wszystkie mecze w pierwszej rundzie, a nawet o jeden więcej, musiał rozegrać na wyjazdach, bo... nie miał hali. Niewiele lepiej wiedzie się widzowi, które też wszystkie mecze przegrywają, a szansę na zwycięstwa mają tylko w spotkaniach z... Pabianicami.

Bez szans na awans do elity jest UKS Basket Aleksandrów. Daleki dystans z drugiej ligi do profesjonalnej koszykówki mają ŁKS Koszykówka Kobiet i Alles Głowno.

W męskim баскетболе na lidera regionu wybił się AZS WSGK Polfarmex Kutno, który ma aspiracje awansu do ekstraklasy, ale i potężnych konkurentów. O tradycjach koszykówki w regionie nie pozwalają zapomnieć także drugoligowcy Książak Łowicz i AZS Skierniewice.

W piłce ręcznej Piotrcovia i Piotrkowianin egzystują na ligowych nizinach i cieszyć się wypada, że jednak w ekstraklasie. Nie może jakoś odrodzić się szczypiorniak w Łodzi, a tradycje Anilany to tylko wspomnienia.

Trwa w ekstraklasie zespół siatkarek

Budowlanych. Zbladła nawet wizytówka nie tylko województwa, ale w ogóle polskiej siatkówki w świecie PGE Skra Bełchatów. Utrzymała status potęgi, ale faktem jest, że po 7 tytułach z rzędu utraciła monopol i korona mistrza Polski pojechała do Rzeszowa.

Stracili prymat w kraju waterpoliści ŁSTW Uniwersytet Łódzki i rugbyści Budowlanych Blachy Pruszyński, choć nawet w latach chudych dawali kibicom wiarę w pracę organiczną.

Znakomicie rozwija się centralny ośrodek siatkówki plażowej w łódzkiej SMS im. Kazimierza Górskiego. Młodzież kosi medale jak łany, a idolem wśród naszych siatkarzy stał się Grzegorz Fijałek, który wraz z Mariuszem Prudlem zajął 5. miejsce w Londynie, będąc o krok od finału.

W dyscyplinach indywidualnych Łódzkie ma pojedyncze indywidualności. W pływaniu wciąż nie możemy dochować się następcy jedyne naszego olimpijczyka Jerzego Bonieckiego (Helsinki 1952). Na mistrzostwa świata zakwalifikowała się tylko Aleksandra Urbańczyk-Olejarczyk (Trójka, a wkrótce AZS UŁ PŁ), wciąż jedyna ikona łódzkiego pływania. Do kwalifikacji na Londyn zabrakło jej trzy razy po 0,03 s! Liczą się w kraju jeszcze Krzysztof Jankiewicz (Nawa Skierniewice), Ewa Ścieszko (AZS UŁ PŁ) i Filip Wypych (Trójka, a wkrótce AZS UŁ PŁ). Nadzieje budzi tworzona właśnie w AZS grupa sprinterów trenera Bartosza Olejarczyka. Cieszą sukcesy młodzieży z UKS Piątka Konstantynów, bo właśnie ten klub wybił się na lidera w regionie. W grupie trenera Mariusza Wędrychowicza są kandydaci do udziału w olimpiadzie w Rio de Janeiro 2016 z Dawidem Szwedzkim na czele. Postępy robi też Katarzyna Szpucha z Olimpijczyka Aleksandrów.

Nasze strzelectwo to wciąż Agnieszka Nagay z Orła i długo, długo nikt inny. Trzeci start olimpijski przyniósł jej życiowy sukces, bo awansowała do finału (8. miejsce). Przerwę macierzyńską miała łuczniczka ze Zgierza Justyna Mospinek i urodziła Antosia. W kajakarstwie górskim mamy Grzegorza Kiljanka z LKK Drzewica.



Jerzy Janowicz MKT Łódź

Na igrzyska pojechało czworo lekkoatletów z regionu, ale wystartowało tylko dwóch: biegacz (800 m) Adam Kszczot z RKS był kandydatem do medalu, a nie wszedł nawet do finału. Robert Urbanek z MKLA Łęczycy w rzucie dyskiem także nie zakwalifikował się do elity.

Na rok przed zimową olimpiadą w Soczi wystrzelili znakomitymi wynikami panczeniści. Zbigniew Bródka z UKS Błyskawica Domaniewice to już ścisła czołówka światowa i nadzieja na medal w Soczi 2014. Nasze województwo ma też dwoje innych kandydatów na olimpijczyków: Karolinę Domańską-Ksynt i Rolanda Cieślaka (oboje Pilica Tomaszów).

Uniesienie przeżyli kibice za sprawą znakomitego występu Jerzego Janowicza wśród tenisowych asów w Paryżu. Dopiero jednak nadchodzący rok pokaże, czy to był tylko meteor, czy już weszła gwiazda. Wszystko wskazuje, że chyba mamy nową gwiazdę.

Koniec igrzysk to początek następnych. Już dziś widać jednak, że droga do Rio de Janeiro 2016 wiedzie pod stromą górkę.

Marek Kondraciuk
„Dziennik Łódzki”
fot. Krzysztof Szymczak



Radni IV kadencji Sejmiku Województwa Łódzkiego



Sylwia A. Adamczewska
klub radnych PO



Artur J. Bagiński
klub radnych PSL



Andrzej Barański
klub radnych SLD



Marcin A. Bugajski
klub radnych PO



Andrzej F. Chowis
klub radnych PSL



Włodzimierz Fisiak
klub radnych PO



Radosław W. Gajda
klub radnych PiS



Wiesław Garstka
klub radnych SLD



Świętosław S. Golek
klub radnych PO



Andrzej R. Górczyński
klub radnych PSL



Anna M. Grabek
klub radnych PiS



Piotr Grabowski
klub radnych PiS



Agata Grzeszczyk
klub radnych PO



Jakub Jędrzejczak
klub radnych PO



Danuta Kałuzińska
klub radnych SLD



Anna B. Kamińska
radna niezrzeszona



Monika A. Kilar-Błaszczak
klub radnych PiS



Dariusz Klimczak
klub radnych PSL



Iwona E. Koperska
klub radnych PiS



Ewa Kralkowska
klub radnych SLD



Cezary J. Krawczyk
klub radnych PO



Włodzimierz S. Kula
klub radnych PO



Marek M. Mazur
klub radnych PSL



Elżbieta R. Nawrocka
klub radnych PSL



Irena M. Nowacka
klub radnych SLD



Anna B. Rabiega
klub radnych PO



Ilona M. Rafalska
klub radnych PO



Halina B. Rosiak
klub radnych PiS



Dorota H. Ryl
klub radnych PO



Wiesław W. Stasiak
klub radnych PSL



Witold Stępień
klub radnych PO



Jolanta Szymańska
klub radnych PO



Mieczysław Teodorczyk
klub radnych SLD



Witold J. Witzak
klub radnych PiS



Marek K. Włóka
klub radnych PiS



Bożena Ziemienczuk
klub radnych PO

Będę w Łodzi do 30.06.2013

Picasso

Korespondencje. Sztuka nowoczesna i uniwersalizm

Wybitne dzieła, wielkie nazwiska i połączenie dwóch, korespondujących ze sobą kolekcji. Przed nami największe w Polsce przedsięwzięcie wystawiennicze sezonu 2012/2013. Od 14 grudnia w ms² prezentujemy prace największych artystów XX wieku, m.in. Pabla Picassa, Wassilego Kandinskiego, Paula Klee, Pieta Mondriana, Mariny Abramović i Louise Bourgeois. Na trzech piętrach muzeum wystawionych zostało 350 prac, ponad sto z nich będzie można zobaczyć w naszej części Europy po raz pierwszy.

Wystawa „Korespondencje” została przygotowana przez Muzeum Sztuki w Łodzi we współpracy z Rupf Stiftung oraz Kunstmuseum w Bernie. Można będzie ją oglądać w ms² do 30 czerwca 2013 r. Po zakończeniu ekspozycji część łódzkiej międzynarodowej kolekcji sztuki nowoczesnej zostanie zaprezentowana w Kunstmuseum w Szwajcarii.

*Kuratorzy: Małgorzata Ludwisiak,
Jarosław Lubiak
Oprac. asj*

ms
Muzeum Sztuki

Muzeum Sztuki w Łodzi
Instytucja Samorządu Województwa Łódzkiego



Pablo Picasso, *Głowa kobiety dzierzącej*, 1929 r.

Muzeum Sztuki w Łodzi ms², ul. Ogrodowa 19, www.msl.org.pl